ŁOWIEC POLSKI

52 ROK WYDAWNICTWA

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 6 (979) CZERWIEC 1950 R. CENA 60 ZŁ

Łowiecki Konkurs Literacki

Komitet Redakcyjny Łowca Polskiego, pragnąc zasilić pismo utworami beletrystycznymi i przyciągnąć do współpracy nowe siły, zwłaszcza z prowincji, ogłasza KONKURS NA KRÓTKIE UTWORY LITERACKIE W POSTACI NOWEL, OPOWIADAŃ, WSPOMNIEŃ itp. na tematy łowieckie lub na tle życia łowieckiego oparte.

Utwory powinny być krótkie, mogące się zmieścić na 4 do 5 stronach Łowca Polskiego, a więc liczące 8 DO 10 STRON MASZYNOPISU o 30 wierszach i 40 znakach pisarskich w wierszu. Ilustrowanie prac zdjęciami czy udatnymi rysunkami jest pożądane.

Prace ,nadesłane na Konkurs, powinny być przepisane na maszynie jednostronnie, z interliniami (odstępami między wierszami) i z marginesem dla poprawek i uwag dla drukarni. Podpisane być winny godłem, zaś nazwisko autora należy podać w zamkniętej kopercie, opatrzonej tym samym godłem.

Dla prac wyróżnionych wyznaczono pięć nagród: I — W KWOCIE 30.000 ZŁ, II — 20.000 ZŁ i TRZY NAGRODY PO 10.000 ZŁ. Autorzy prac nagrodzonych otrzymają po 5 egzemplarzy Łowca Polskiego z pracami wydrukowanymi oraz normalnie przypadające honorarium. Poza tym inne prace mogą być uznane za zasługujące na zamieszczenie w Łowcu Polskim z opłatą honorarium normalnego i z prawem do 2 egzemplarzy autorskich.

Sąd Konkursowy stanowić będą członkowie Komitetu Redakcyjnego z wyboru. Sądowi przysługuje prawo — w razie nie osiągnięcia należytego poziomu prac — nie przyznania nagrody pierwszej.

TERMIN NADSYŁANIA PRAC UPŁYWA Z DNIEM 31 SIERPNIA 1950 R.

OD REDAKCJI

Spis rzeczy w numerze:

Nasza okładka — Kapitalny mytkus rys. L. Maciąg

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 6 (979) 1950 CZERWIEC

Szlifuje... Fot. Z. Kowalski

INŻ. STANISŁAW IHNATOWICZ.

WALKA TRWA

Jeżeli rzucimy okiem na ostatnie trzy numery „Łowca Polskiego" za 1949 r. i pierwsze numery z rb. to stwierdzimy, że artykuły wstępne wniosły pewne ożywienie na łamy pisma, dając jasne sformułowanie całości ideologii, której wyrazem ma być w swojej działalności Polski Związek Łowiecki. Artykuły te na podstawie zasad ideologii marksistowsko - leninowskiej określiły konieczność zastosowania ostrza samokrytyki do zagadnień łowieckich i do stosunków w naszym Związku jeszcze pokutujących.

Niewątpliwie, szeroki ogół członków P. Z. Ł., zdecydowany w swym składzie socjalnym, rozpoczął od dołu właściwą akcję oczyszczania szeregów związkowych z wrogich i obcych elementów. Sprawy kadr stanęły na porządku życia codziennego Związku i stały się jednym z czołowych zagadnień. Jest to słuszne i konieczne. Przeciwko próbom rozpętania przez imperialistów trzeciej wojny światowej powstał zwarty obóz pokoju z potężnym Związkiem Radzieckim na czele. Walka o pokój wre, przybierając na sile i ogarniając coraz szerzej milionowe szeregi prostych ludzi. A w tej walce o pokój Polska Ludowa zajmuje jedno z czołowych miejsc. To też ataki wściekłe są kierowane na nas przez podżegaczy wojennych nieustannie .

Taktyka wrogów przystosowała się do nowej sytuacji i próbuje poderwać nasze budownictwo pokojowe, budowanie gospodarki socjalistycznej, po przez przenikanie, w najbardziej przemyślny sposób maskując się, do urzędów, instytucji, przedsiębiorstw uspołecznionych, a przede wszystkim starając się opanować od wewnątrz spółdzielczość oraz organizacje społeczne. Z pośród organizacji społecznych, na które wywiera silny nacisk wróg klasowy, wspierany przemożnie przez organizatorów nowej światowej rzeźni ludzkości — imperialistów anglo-amerykańskich — jest również Polski Związek Łowiecki i Spółdzielnia „Jedność Łowiecka".

Polski Związek Łowiecki może stanowić doskonałe przykrycie legalne dla wrogiej działalności jednostek, bo działając w terenie, jako organizacja myśliwych, uprawiających czynnie łowiectwo po przez polowanie, pozwala na legalne kontakty grupowe i indywidualne przy jednoczesnym rozpoznawaniu terenu. Odpowiednia nieustanna, wzmożona, wytrwała, systematyczna czujność kadrowa w Polskim Związku Łowieckim jest przeto nakazem szczególnym, obowiązkowym i koniecznym. To też o właściwych ludzi w kadrach Związku walka trwa w całej pełni. Wszystko, co złe, wrogie, przesiąknięte duchem sanacyjno - faszystowskim, ideologią burżuazyjną, obszarniczą, stylem i postawą jaśniepańską musi być usunięte z aparatu Związku.

Walka o właściwe w pełni oblicze społeczno-polityczne Związku ,walka o to, aby poza słowną deklaracją, uroczystym frontem znajdowała się treść właściwa, nie nasuwająca najmniejszych zastrzeżeń — jeszcze trwa. Nikt nie powinien się łudzić, że już wszystko w Związku naszym jest w porządku. Jeżeli Prezydium Związku ustaliło cel i zadanie Związku, co zostało wyrażone w artykule wstępnym, umieszczonym w styczniowym numerze „Łowca Polskiego" z roku bieżącego, gdzie zostało wskazane, jaka ma być linia zasadnicza postępowania Związku, — to obowiązuje i musi być konsekwentnie realizowane.

Jednak mimo trwającej walki o czystość kadr Związkowych — praca na odcinku gospodarczym nie może być zaniedbywana. Organizowanie i ulepszanie pracy fachowej, uświadamianie i podciąganie szerokich rzesz myśliwych wzwyż musi być jednocześnie prowadzone intensywnie i wytrwale.

Polski Związek Łowiecki wraz ze Spółdzielnią „Jedność Łowiecka" wchodzą do 6-cio letniego planu gospodarczego. Ciążą na Związku i Spółdzielni poważne zadania do wykonania. Zadania te muszą być spełnione terminowo, dokładnie i w rozmiarach nie mniejszych od zaplanowanych. Plan dostarczenia dziczyzny na eksport i na spożycie wewnętrzne musi być zrealizowany i może być zrealizowany z nadwyżką. Realizacja planu łowieckiego to pozyskanie zwierzyny łownej. Pozyskanie zwierzyny łownej — to jej prawidłowy odstrzał. Z drugiej strony aby przeprowadzać prawidłowy odstrzał — trzeba wpierw prowadzić prawidłową gospodarkę hodowlaną łowiecką. Żadna zaś działalność gospodarcza nie jest możliwa bez konkretnych realnych danych czym, w jakiej ilości i gdzie, na jakim terenie, dysponuje się. To też sprawa ewidencji zwierzyny łownej według poszczególnych obszarów jej rozsiedlenia jest sprawą zasadniczą. Nasze łowiectwo nigdy dotychczas nie było prowadzone planowo. Statystyka czyli ewidencja zwierzyny łownej nigdy nie stanowiła większej troski, to też wszystkie nasze dotychczasowe dane są bardzo ogólnikowo, w przeważającej mierze oparte na cyfrach z sufitu, a nie na realnych, konkretnych danych z terenu.

Budujemy socjalizm, budujemy gospodarkę socjalistyczną. A co to jest socjalizm? Na to pytanie, nieśmiertelny Lenin, geniusz ludzkości, odpowiedział chłopom i robotnikom, na drugi dzień po zwycięstwie Wielkiej Rewolu-

cji Październikowej — że socjalizm to „uczёt", to znaczy: **socjalizm — to ewidencja.** To znaczy, że nie wystarczy przejęcie na własność społeczną środków produkcji, lecz należy tę własność społeczną utrzymać w nalezytej ewidencji. Ewidencja — to prowadzenie systematyczne i stałe dokładnego rachunku, statystyki tego wszystkiego, co się ma, czym się dysponuje, czym się gospodarzy. Planowa gospodarka, to znaczy gospodarka socjalistyczna, nie może być prowadzona bez ewidencji. Plan, nie oparty na realnych liczbach ewidencji, nie jest żadnym planem socjalistycznym. Plan bez realnej podstawy liczbowej — jest samooszukiwaniem się, jest burżuazyjną, kapitalistyczną kalkulacją, jest tylko mniej lub więcej dowolnym przewidywaniem. W łowieckiej gospodarce jesteśmy jeszcze dalecy od właściwej podstawy planowej — jaką daje ścisła statystyka. Na tym odcinku przed całym Związkiem stoi zadanie do rozwiązania i do wykonania: zorganizować stałą, trwałą i systemtyczną ewidencję zwierzyny łownej.

Ewidencja zwierzyny łownej może być najlepiej i najpełniej prowadzona przez Kółka Myśliwskie. Jest to pole do popisu w sprawności prowadzenia gospodarki na obszarze swego łowiska. W tej pracy doskonale może być toczone pomiędzy kółkami myśliwskimi **współzawodnictwo** — kto lepiej, sprawniej i rzetelniej poprowadzi u siebie ewidencję posiadanej w łowisku zwierzyny, kto lepiej, sprawniej, z zachowaniem prawidłowości koniecznej i niezbędnej — przeprowadzi u siebie polowanie i zarejestruje wyniki sezonu łowieckiego. Walka o najlepsze prowadzenie ewidencji zwierzyny łownej, o pierwszeństwo w tym prowadzeniu — to walka o jeden z podstawowych składników gospodarki socjalistycznej. Zdobycie przodownictwa w tej dziedzinie — to realny wkład w zakładaniu trwałych podwalin planowej gospodarki łowieckiej.

I jeszcze jedno — mało tego, że ewidencja zwierzyny będzie prowadzona stale i systematycznie, to jeszcze nie wystarcza. Ewidencja zwierzyny musi być prowadzona **rzetelnie, uczciwie**, musi być przesiąknięta pełnym poczuciem odpowiedzialności, że podawane liczby stanu ilościowego zwierzyny danej na danym terenie oraz ilości odstrzelone — są to liczby realne, oparte na stanie faktycznym. Temu zadaniu rzetelności i sumienności — może sprostać tylko człowiek pracy rzetelnej, robotnik i chłop, który namacalnie, dowodnie, w ciężkim znoju swej wspaniałej twórczej pracy budowania Polski Socjalistycznej widzi, rozumie i całym sercem odczuwa, co to znaczy rzetelna praca i rzetelny, uczciwy rachunek.

KOMUNIKAT
Spółdzielni »Jedność Łowiecka«

Przypominamy członkom Spółdzielni, że legitymacje członkowskie są do odebrania w tych Oddziałach, w których zasięgu działalności członkowie zamieszkują.

W związku z powyższym zawiadamiamy, że spłonki rozprowadzane będą pomiędzy członków Spółdzielni, wyłącznie za okazaniem legitymacji członkowskiej.

Szczęście rodzinne Fot. N. N.

Inż. Aleksander Haber
(z Zakładu Ochrony Lasu
Instytutu Badawczego Leśnictwa)

W OBRONIE DZIKÓW

Kampania skierowana przeciw dzikom, z zamiarem znacznego zmniejszenia ich pogłowia, przybrała w czasie ostatnich miesięcy ubiegłej jesieni i zimy na terenie niektórych województw niepokojące rozmiary — tym bardziej, że na zachodzie kraju wiele dzików w latach 1947 — 49 padło na pomór.

Dziki dość często wyrządzały dotkliwe szkody w gospodarstwie rolnym i łąkowym. Szkody te rozpatrywane wyłącznie z punktu interesów rolnika, spowodowały szereg ostrych zarządzeń, które w rezultacie, wraz z pomorem dzików, dokonały prawdziwego pogromu wśród dzików.

Jeśli sprawę t. zw. „szkodliwości" dzika rozpatrzymy z punktu widzenia ochrony lasów, to rzecz przedstawia się wręcz przeciwnie.

Dzik należy do zwierząt wszystkożernych. Na pokarm jego składają się, zależnie od pory roku i możności zdobycia pożywienia: owoce (dzikie jabłka, gruszki), nasiona; dębu, buku, grabu, jagody, zielenina (koniczyna, niektóre zioła trawy, oziminy), korzonki i bulwy roślin zielonych, ziarno zbóż (najchętniej młode z mleczkiem), grochy, owady napotkane w lesie i na polach, na ziemi i w ziemi we wszystkich stadiach rozwoju. — Drobne i małe ssaki (myszy, nornice) ,jaja i pisklęta ptasie, żaby itd. Zjada dzik również padlinę, a często chorą lub ciężko postrzeloną zwierzynę łowną.

Na podstawie powyższego składu pokarmowego można, nawet przy pobieżnym zainteresowaniu omawianą sprawą, wyrobić sobie po-

gląd na właściwą rolę dzika w gospodarstwie leśnym. Przez zjadanie żołędzi, bukwi, które w latach nasiennych stanowią jego ulubiony pokarm, wykopywanie siewek i sadzonek buka, dębu i niektórych innych, przez ranienie korzeni, wydeptywanie sadzonek i upraw, — przynosi pewne — na ogół wyolbrzymiane szkody w gospodarstwie leśnym. Nie można jednak pominąć faktu, że właśnie przez rycie górnych warstw gleby leśnej — powodując wzruszanie grubej warstwy ściOły, mieszanie gleby mineralnej z próchnicą i ściołą — dziki przyspieszają rozkład ścioły, a zruszając glebę na dużych przestrzeniach ułatwiają odnowienie samosiewem drzewostanów. Mógłbym przytoczyć cały szereg przykładów gdzie dziki przyczyniły się w znacznej mierze do odnowienia samosiewem, które daje najlepsze wyniki.

Pewne szkody mogą wyrządzać dziki w gospodarstwie łowieckim przez zjadanie jaj i piskląt ptaków gnieżdżących się na ziemi, niekiedy przez zjadanie niedołężnych młodych zwierząt łownych.

W ochronie lasu dziki oddają zato leśnictwu olbrzymie korzyści, odpłacając z grubą nawiązką szkody wyrządzane w rolnictwie i leśnictwie.

Cały szereg publikacji z dziedziny łowiectwa i leśnictwa zgodnie wspomina, że dzik „przez zjadanie szkodliwych w gospodarstwie leśnym owadów oddaje człowiekowi usługi". Wzmianki te, podane w krótkiej i lakonicznej formie, nie pozwalają na właściwą orientację, co do roli jaką spełniają dziki w ochronie lasu i że właśnie dzik masowo tępiony jest jednym z bardzo ważnych czynników w ochronie lasu, hamujących nadmierny rozwój szkodliwych owadów.

Trwająca od roku 1945 gradacja szkodników owadzich na terenie Lasów Państwowych, Samorządowych i lasów drobnej własności wyrządziła już olbrzymie, miliardowe szkody, wyrażające się utratą przyrostu masy objadanych drzew i zamieraniem drzew często na dużych powierzchniach. Gradacja najsilniej objęła Zachód naszego kraju, tam gdzie drzewostany najmniej są odporne na szkodniki owadzie na skutek jednogatunkowości (sosna) i jednowiekowości.

A oto cały szereg szkodników, które nawiedziły nasze lasy i których gradacja mimo wysiłków ze strony Administracji Lasów Państwowych trwa nadal;

Brudnica mniszka, barczatka sosnówka, poproch cetyniak, zawisak borowiec, sówka (strzygonia) choinówka, osnuja gwiaździsta, boreczniki, pędraki chrabąszcza majowego i guniaka czerwczyka.

OLBRZYMIE akcje, skierowane przeciwko niektórym z powyższych szkodników, prowadzone przez Ministerstwo Leśnictwa od kilku lat, pochłonęły setki milionów złotych. Dość wspomnieć o akcji lepowania przeciw barczatce, która objęła powierzchnię kilku tysięcy ha i o akcjach chemicznego zwalczania osnui przy użyciu samolotów, które objęły obszar kilkudziesięciu tysięcy hektarów drzewostanów zagrożonych śmiertelnie żerem owadów. Należy tu podkreślić, że największe niebezpieczeństwo, jakie grozi lasom ze strony sówki choinówki jeszcze, nie nadeszło, ale spodziewane jest na lata 1951—52. Jeśli spełnią się przewidywania, oparte o obserwacje i badania naukowe, żer gąsienic sówki może objąć setki tysięcy hektarów lasów w Europie. Lasy nasze, leżące na starym szlaku sówkowym, z pewnością nie zostaną ominięte, tym bardziej, że wiele faktów wskazuje na wyraźnie zarysowującą się w naszych lasach gradację sówki.

Niektóre ze szkodników owadów leśnych np. barczatka sówka, poproch cetyniak, zawisak borowiec, sówka choinówka, osnuja gwiaździsta, boreczniki przebywają okres zimowy w postaci bądź gąsienicy, bądź też poczwarki, w wierzchnich warstwach gleby leśnej, układając się przeważnie pod okapem korony drzewa, w ściole, próchnicy i glebie mineralnej, średnio do głębokości 15 cm. Pędraki chrabąszcza i guniaka czerwczyka przebywają w ziemi okres kilkuletni.

Wymienione stadia szkodliwych w gospodarstwie leśnym owadów, masowo zjadane są przez dziki, które nie napastowane przez człowieka ściągają do zagrożonych owadami drzewostanów i tu od jesieni aż do wiosny dokładnie przeszukują glebę wybierając poczwarki i gąsienice. Doskonały węch, duża żarłoczność i specjalna dzikowi właściwość, że wybrać potrafi z ziemi nawet bardzo małe gąsienice, zwiększa jego znaczenie dla ochrony lasu.

Przytoczone fakty znane są leśnikom. Wiadomo co dzik zjada, jeśli chodzi o owady, ale ile owadów jest zjadanych, z tego mało kto zdaje sobie sprawę. Pewne światło na omawiany temat mogą rzucić obserwacje i wyniki analiz żołądków dziczych, jakie znajdują się w posiadaniu Instytutu Badawczego Leśnictwa. Spośród kilkudziesięciu analiz zawartości żołądków dziczych przytaczam tylko te, które ze względu na ilościowy skład pokarmu owadziego są najciekawsze.

1. Odyniec lat 5 — waga 128 kg. zastrzelony dnia 25.IX.1938 roku L-ctwo Wolica, godzina 11.30 w pobliżu ugorów i pędraczysk Oddz. 111—118. Ugory i pędraczyska licznie odwiedzane przez dziki. Żołądek całkowic e napełniony poniższą treścią:

1) Kręgowce: a) szczątki trzech sztuk myszy — silnie nadtrawione; b) resztki średniej wielkości żaby trawnej.
2) Owady: c) pędraki dwuletnie chrabąszcza majowego i kasztanowca w liczbie 1462 szt., część w całośc', część w połowie nadtrawiona, z reszty pozostały puszki głowowe. d) 11 szt. drutowców.
3) Rośliny: e) silnie rozdrobnione części roślin zielonych. f) kawałki skorupek orzechów laskowych.Poza tym znaleziono gęsty szlam z próchnicy i gleby leśnej.

2. Locha, wiek około 3 lat, waga 89 kg, zastrzelona dnia 23.XI.38 roku w L-ctwie Grabowa na polach uprawnych, przylegających do lasu. Żołądek w trzech czwartych wypełniony treśc ą, jak niżej:

1) Kręgowce: 16 szt. rozdrobnionych i nadtrawionych myszy.
2) Owady: bardzo liczne szczątki poczwarek zawisaka borowca 172 szt. kokonów borecznika.
3) Rośliny: miazga z kartofli — zajmująca połowę zawartości żołądka, zielenina z ozimin.

3. Odyniec — wiek około 4 lat, waga 118 kg. zastrzelony 23.XII.1938 r. w L-ctwie Przyłęk. Drzewostany sosnowe. Analiza przawodu pokarmowego: 2.64 kg poczwarek poprocha cetyniaka w stanie dość silnego nadtrawien a. Licząc na śluz żołądkowy resztki z emi i próchnicy jakie składały się również na zawartość żołądka — 30%, wypada, że ilość zjedzonych poczwarek wyn osła 1.89 kg. Licząc 1 poczwarka = 1 gr., dzik zjadł około 1890 sztuk poczwarek.

4. Dzik wagi 55 kg zastrzelony w listopadzie 1945 roku na terenie N-ctwa Głogów. Analiza przewodu pokarmowego:

1) Kręgowce: szczątki myszy silnie nadtrawione.
2) Owady: 1,92 kg szczątków poczwarek zawisaka borowca i boreczników. Odliczając 30% wagi na śluz i inne przymieszki dzik zjadł 1.34 kg poczwarek zawisaka i kokonów borecznika.

5. Dzik — waga 82 kg. zastrzelony w L-ctwie Sokołów w grudniu 1945 r. drzewostany sosnowe — słaba gradacja barczatk . (Dane według Ob. Dudeka). Analiza przewodu pokarmowego wykazała:

1) Owady: 2130 szt. gąsienic barczatki sosnówki w stanie nadtrawienia. Pojedyńcze szczątki poczwarek motyli? Resztki poczwarek zawisaka borowca. Kokony boreczników.
2) Rośliny: silnie nadtrawione szczątki roślin z elonych w małych ilościach.

6. Na zapędraczonych gruntach i ugorach Łemkowszczyzny, należących do Dyrekcji Lasów Państwowych w Krakowie w latach 1948 — 49 dziki żerowały bardzo ntensywnie. Niektóre ugory zostały całkow cie przeryte. Dwa dziki zastrzelone w lesie, w pobliżu wspomnianych ugorów wykazały zawartość żołądka: u jednego ponad 2500 szt. pędraków, u drugiego 1900 szt., co zostało stwierdzone przez personel A. L. P.

7. Z terenu D. L. P. Opole, opadniętego przez osnuję gwieździstą, c ekawych danych dostarczył inż. Gabriel. U dzika zastrzelonego w drzewostanach „osnujowych" znalazł on 4.300 gr. samych larw osnui gwiaździstej. U drugiego dzika, zastrzelonego w pobliżu wspomnianych drzewostanów, 2.700 gr larw osnui. Przyjmując średnią wagę osnui na 1.2 gr w przypadku pierwszym dzik zjadł 3.583 larw. w drugim 2.250 larw.

8. Według obserwacji Balstera zastrzelony w lutym wycinek posiadał w żołądku 8.100 sztuk poczwarek sówki.

To byłoby kilka cyfr św adczących o apetycie dzika. Do powyższych należałoby dodać jeszcze ilości poczwarek i gąsienic, które w czasie życia i przewracania gleby przez dziki zostają zgn ecione w ziemi, oraz te ilości które na skutek odsłonięcia gleby i słabego zabezpieczenia przed szkodliwymi wpływami temperatury (mróz, przesuszenie) i zmian atmosferycznych stają s ę podatne na zakażenie grzybami, bakteriami i giną w większych liościach. Poza tym odsłaniając glebę dziki ułatwiają ptakom wybieranie pozostałych larw z ziemi.

Przeliczając wymienione wyżej dane na powierzchn ę z jakiej pędraki, gąsienice i poczwarki zostały zebrane, otrzymujemy w przybliżeniu wyniki:

Na uprawach leśnych krytyczna (niebezpieczna), dla rosnących tam sadzonek, ilość pędraków na 1 m² powierzchni wynosi:

a) na bogatych wilgotnych glebach borów mieszanych 8 szt. pędraków 2 letnich;
b) na świeżych piaszczystych glebach borów mszystych 5 szt. pędraków 2 letn ch;

c) suche piaszczyste gleby borów chrobotkowych 2 szt. pędraków 2-letnich.

Nasilenie gleby pędrakami powyżej tej ilości powoduje, że system korzeniowy rosnących roślin zostaje całkowicie objedzony i rośliny giną.

Przyjmując, że na powierzchni, gdzie dzik żerował, znajdowało się po 50 sztuk pędraków na 1 m², dzik oczyścił (licząc minimalnie) powierzchnię około 34 m² w czasie kilku godzin nocy.

Krytyczne cyfry obłożeń „podokapowych" w drzewostanach sosnowych w wieku 50 lat i rosnących na III kl. siedliska, powyżej których drzewostanom grozi całkowicie ogołocenie ze szpilek — a w następstwie długi okres regeneracji, utratę przyrostu lub śmierć — są następujące:

poczwarki poprocha cetyniaka 70 — 120 szt. średnio 100 szt. poczwarek na okap.

poczwarki sówki choinówki 20 — 30 szt. średnio 25 szt. na okap,

gąsienice barczatki sosnówki 50 szt. na okap

larwy osnui gwiaździstej 100 szt. na okap.

Powyższe cyfry oznaczają ilości poczwarek i gąsienic leżące w ściółce, próchnicy i ziemi pod okapami poszczególnych drzew.

Średnia wielkość powierzchni podokapowej dla drzewostanu 50 letniego II kl. siedliska wynosi około 5 m². W dalszych obliczeniach przyjęto, że na 1 hektarze lasu III kl. siedliska rośnie 1.500 szt. drzew. Przeliczając ilości znalezionych w żołądkach poczwarek, larw i gąsienic na ilość oczyszczonych powierzchni podokapowych drzew, a następnie ilość hektarów lasu, otrzymamy następujące dane — odnośnie poszczególnych analiz.

Dzik wymieniony w punkcie 3-cim (u którego znaleziono 1890 szt. poczwarek) oczyścił 19 sztuk „powierzchni podokapowych" czyli 19 × 5 m² = 95 m², prawdopodobnie w czasie jednej nocy.

Poczwarka poprocha leży w ziemi od początku grudnia od drugiej połowy maja następnego roku, czyli prawie 6 miesięcy. W przeciągu tego czasu dzik mógł oczyścić 3.420 drzew rosnących na pow. 2 hektarów. Koszty zwalczania poprocha na tej powierzchni wyniosłyby wedle dzisiejszych cen przy grabieniu ściółki około 40.000 zł. przy zastosowaniu środków chemicznych 28 — 35.000 zł.

Dzik wymieniony w punkcie 5 — u którego znaleziono 2.130 szt. gąsienic barczatki sosnówki, oczyścił przy obłożeniu 100 szt. gąsienic na okap — 21 sztuk drzew czy 21 × 5 m² = 105 m² również w czasie kilkunastu godzin.

Gąsienica barczatki leży w ziemi od połowy listopada do końca marca czyli około 4½ miesią-

Buchtujący dzik Fot. Z. Porębski

ca. Przez ten czas dzik mógł oczyścić 2835 drzew czyli około 1.8 hektara. Zwalczanie barczatki na tej powierzchni przez zakładanie pierścieni lepowych licząc po 24.000 zł. na 1 ha wyniosłoby około 43.000 zł.

Dzik wykazany w p-kcie 8, który zjadł 8.100 szt. poczwarek sówki i wedle analogicznych obliczeń oczyścił przy obłożeniu 200 szt. poczwarek 40 szt. drzew, czyli 40 × 5 m² = 200 m².

Ze względu na bardzo dużą ilość poczwarek w żołądku przyjmuję, że obłożenie drzewostanu gdzie dzik żerował było bardzo wysokie.

Poczwarka sówki leży w ziemi od sierpnia do kwietnia czyli 8 miesięcy. W tym czasie dzik mógł oczyścić 9.600 szt. drzew czyli około 6,3 ha lasu. Zwalczanie chemiczne sówki na tej powierzchni kosztowałoby ok. 75.000 lub grabiąc ściółkę ALP zapłaciłaby około 120.000 zł.

Dzik podany w p-kcie 7, u którego znaleziono 3.583 szt. larw osnuii gwiaździstej, przy obłożeniu 300 sztuk larw na okap oczyścił około 31 sztuk drzew, czyli 155 m².

Larwa osnui leży w ziemi około 3 lat. Dziki mają długi czas na likwidację szkodnika i znany jest fakt, że dzik stanowi bardzo waz czynnik hamujący gradację osnui.

Jak wyżej wspomniano koszta mechanicznych i chemicznych sposobów zwalczania owadów są bardzo wysokie, używanie środków chemicznych jest ze względu na biocenozę lasu ostatecznością i nie zawsze daje spodziewane dodatnie wyniki. Dlatego w wypadkach gradacji owadów, a specjalnie w wypadkach zaczynającej się gradacji, gdzie owady występują gniazdami na małych powierzchniach, wykorzystać musimy wszystkich naturalnych wrogów owadzich, wśród których dzik bezsprzecznie zajmuje jedno z pierwszych miejsc i tu rola jego nabiera szczególnego znaczenia. Przed ostatecznym zajęciem stanowiska, pozytywną rolę dzika należy głęboko rozważyć, pamiętając o tym, że lasy nasze ulegają w tej chwili potężnym ciosom ze strony owadów i każdy nawet najmniejszy sojusznik w walce ze szkodnikami lasów w sytuacji obecnej jest niezmiernie cenny.

Dążyć należy nie do bezmyślnego wybijania dzików — ale w imię zagrożonych lasów do ich ochrony. Sprawy zaś ochrony upraw rolnych od szkód dziczych winny być załatwione na drodze właściwej reorganizacji hodowli dzika, jako zwierzyny łownej, oraz poprzez należytą organizację ochrony tych upraw.

Zgłaszanie dzieł sztuki

Warszawska Wojewódzka Rada Łowiecka ma zamiar w jesieni br. urządzić wystawę dzieł sztuki malarzy polskich o tematyce łowieckiej i przyrodniczej.

Wobec powyższego tut. Rada zwraca się do członków Polskiego Związku Łowieckiego, zamieszkałych na terenie województwa warszawskiego z prośbą o podanie w terminie do dnia 1.IX. br., pod adresem Warszawskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, Warszawa, ul. Nowy Świat 35, posiadanych eksponatów, które mogłyby być wypożyczone na czas wystawy.

W zgłoszonym wykazie dzieł sztuki należy podać autora obrazu lub rzeźby i treść.

WARSZAWSKA WOJEWÓDZKA RADA ŁOWIECKA

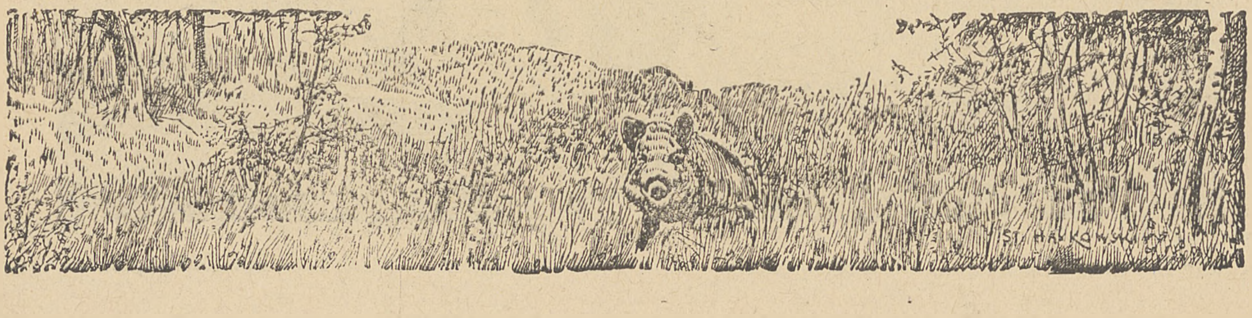

ZBIGNIEW KOWALSKI

TRZYNASTEGO W PIĄTEK

ZDZIESIĄTKOWANIE naszych zwierzostanów krajowych, będące jednym z wielu smutnych następstw wojny, dotknęło specjalnie silnie sarny. Sarna zwierzę w zasadzie mało płochliwe, a poza tym otaczane opieką i rozbrajające człowieka swą pięknością, była pełna ufności i nieświadoma niebezpieczeństwa. Toteż dobrze przystrzelane karabiny strzelców wyborowych i siejące niby loftkami dalekosiężne automaty miały łatwą zupełnie pracę.

Na przełomie lat 1944 — 45, a potym jeszcze w ciągu tegoż 1945 roku pogłowie sarn w Polsce zmniejszyło się o ca 70 procent. Zdawało się, że tak pospolita do niedawna zwierzyna podzieli los łosia, żubra i bobra.

Dopiero w lecie w roku 1946 pewne opanowanie rozwielmożnionego kłusownictwa łącznie z wybitnie dobrze zapowiadającymi się miotami, kazały odżyć nadziei, że ten najwdzięczniejszy tak pod względem hodowli jak i urody cerwid da się na naszych ziemiach na nowo odrodzić. Te jaśniejsze perspektywy potęguje też fakt, że sama przyroda przyszła z pomocą myśliwym i leśnikom.

Sarny przed wojną nie trudne do podejścia, a zupełnie już łatwe do podjechania, stały się obecnie czujne, ostre i niedopuszczające człowieka na daleki strzał kulowy. A nawet, jak mieliśmy to możność zauważyć z kolegą Mniszek-Tchórznickim w czasie pobytu w Nadleśnictwie Grzymiszew, rogacz wychodzący na polanę przede wszystkim, zabawnie skręcając głowę, oczył do góry w kierunku ambony i dostrzegłszy najmniejszy bodaj ruch, nieprzypuszczającego takiej niespodzianki. myśliwego, strasząc pryskał w gąszcz. Poza tym podczas moich wielokrotnych wędrówek za sarnami po kniei stwierdziłem, że kozy rzucają często po trzy młode, a niekiedy nawet i cztery. Ten ostatni wypadek zaobserwowałem na podjeździe z leśniczym Dziągiem w Nadleśnictwie Świekatówko na Pomorzu.

Inna rzecz ,że masowy odstrzał, a właściwie masowa rzeź wyselekcjonowała wielokrotnie lepiej niż kula straży czy wilki, wszystkie sztuki chore, gnuśne, słabsze i nawet przeciętne, pozostawiając do dalszej hodowli materiał wyłącznie pierwszorzędny. Toteż spotykane w lecie 1946 roku sarny były rosłe, dobrze wyleniałe, o miedzianej sierści, a w znanym od lat z kapitalnych rogaczy uroczysku Grabina spotkałem dwa kozły, których parostki należało zakwalifikować do klasy najwyższej. Choć w łowisku tym zaprojektowany był przez Dyrekcję Lasów Państwowych odstrzał, nie kwapiłem się z naciśnięciem spustu, bowiem oba zaobserwowane rogacze choć kapitalne, nie robiły wrażenia poważniejszych wiekiem sztuk, a i ilość spotykanych po kniei sarn nie potwierdzała optymistycznego raportu Nadleśnictwa o stanie płowej zwierzyny.

Poza tym wiedziałem, że jeżeli w następnym sezonie będzie znów w Grabinie przyznany odstrzał, to ja chyba będę upoważniony go dokonać.

Grabina, 11 czerwiec 1947 r.

Pierwszy podjazd daje mi dużą emocję i jeszcze większą radość, że pogłowie sarn zaczyna się w niektórych częściach naszego kraju poprawiać w szybkim tempie. Bowiem w czasie trzygodzinnej włóczęgi po lesie spotykam 5 rogaczy i 8 sarn. Jedna z siut pasie się w dębinie z dwojgiem dobrze już podrośniętych tegorocznych sarniątek.

Cztery z podjechanych kozłów to młode przyszłościowe sztuki, piąty nosi poroże skręcone w korkociąg, szare i brzydkie. Tego też objeżdżam i strzelam w gonnym rzadkim lesie. Rogacz dostaje na 120 kroków trochę zgórowaną kulę w krzyż i pada na miejscu.

Wracamy wcześnie, gdyż zaczyna wreszcie padać tak upragniony w tym dziwnym roku syberyjskich mrozów, śnieżyc, powodzi i posuch — rzęsisty deszcz.

12 czerwiec 1947 r.

Ranek.

— Już wpół do czwartej. Czas wstawać choć z pogodą to kiepsko — budzi mnie o zmroku jeszcze zmartwiony głos gajowego Wojtały.

— Ciągle pada?

— A tak, pada złoto z nieba — odpowiada teraz rozradowanym głosem użytkownik deputatu przy gajówce.

Chmury biegną nisko nad lasem, deszcz zacina skośnymi falami, wiatr szumi po borze rozgłośnie. Knieja szara od wilgoci, zamglona, pusta jest i wymarła. Jedna jedyna spotkana sztuka, jakby bojąc się wytknąć nosa dalej, stoi na samym pobrzeżu zagaju i za naszym zbliżeniem się znika z powrotem w gąszczu. Jest to zdaje się kapitalny rogacz, choć w czasie deszczu łatwo o omyłkę, albowiem zczerniałe od deszczu parostki zdają się być, nawet z bliska, dużo mocniejsze.

Deszcz nieco ustaje, z drzew za to kapie coraz obficiej. Lodenowa kurtka pęcznieje, staje się sztywna i ciężka. Przy przechyleniu głowy z ronda kapelusza woda leci ciurkiem na kołnierz.

— Jedziemy do gajówki — decyduję.

— Tak będzie i najlepiej—przyprzytwierdza gajowy.

Zawracamy.

*

Wieczór.

Na dobrą godzinę przed zachodem słońca wyjaśnia się zupełnie niespodziewanie .

Ławica sinych i szarych chmur odpływa na północ, powietrze staje się czyste i przejrzyste aż po daleką, błękitną smugę lasu na wzgórzach nad Wartą.

Na pół nieba olbrzymią, siedmiobarwną szarfą wypływa tęcza. Wnętrze kniei rozjaśnia się świetliście .Pnie błyszczą jak świeżo wypolitur owane, młode pędy świerków i sosen rozkwitają jasno oliwkową zielenią .Krople wilgoci na liściach skrzą się brylantami.

Choć pogodny wieczór po deszczu zdaje się być idealny do polowania, zwierz nie kwapi się jakoś z wczesnym wychodzeniem na polany i zręby. Poza kilkoma kozami, spotykam tylko dwa króliki, mendające zabawnie białymi osmykami w ucieczce.

Kapitalny rogacz Fot. Z. Kowalski

Wobec słabych widoków na podjazd postanawiam zasiąść na zrębie w pobliżu miejsca, gdzie dzisiaj rankiem spłoszony kapitalny rogacz znurkował w gąszczu.

— Niech pan objedzie brzegiem lasu wokoło — mówię do gajowego — może w żytach stać będzie jakaś dobra sztuka.

— Dobrze. Jak tylko co zobaczę, zaraz dam znać.

Słońce zachodzi czerwono i bezchmurnie na pogodę. Drobne, kłębiaste obłoki palą się czerwonym żarem, jak rozsypane na blasze węgielki.

Na zrębie, przede mną, ziemia paruje w ciepłym, wieczornym powietrzu, różowymi smugami. Pod ścianą, zamazującego się już i tracącego ostrość konturów w mroku i mgłach, zagaju pasie się koza. Raz po raz szybko, niespodziewanie podrzuca głowę i oczy w moim kierunku, po czym znów spokojnie zanurza łeb w wilgotnych trawach. Z lasu za plecami wysuwa się szpicak i przechodzi tak blisko mojego ukrycia w jałowcach, że obciera się prawie czerwoną suknią o kolana i lufy drylinga.

Nad drzewami zaczynają krążyć bezszelestnie ostroskrzydłe nietoperze. Na knieję spływa powoli noc.

Nagle na drodze leśnej, daleko, rodzi się turkot wózka. Słychać wyraźnie, że koń biegnie wyciągniętym kłusem, koła kręcą się wartko, bryczka dobija głośno na wybojach i korzeniach.

Gajowy spieszy po mnie, widocznie na pobrzeżu lasu znalazł jakąś godną uwagi sztukę.

Wózek jest już coraz bliżej, pospiesznie klekocą deski na znajomym mostku, cichnie hałas na, przemierzanym wielokrotnie krokami, piaszczystym pagórku.

Nie czekając dłużej ruszam szybko w kierunku gościńca. Na krzyżówce dróg spotykamy się z gajowym.

Nie ma czasu na rozmowy, ładuję się więc na bryczkę bez wypowiedzenia słowa i jednocześnie ruszamy ostro z miejsca.

Półmrok panujący na zrębie, zamienia się w głębi lasu w czarną noc. Jest już bardzo późno. Chyba za późno.

— Pewno nie zdążymy.

— To się zobaczy. Na polach od zachodniej strony będzie jeszcze dosyć jasno.

Wózek kiwa się, zatacza. Mocny unrrowski, wypasiony koń idzie szparko, bez wysiłku jak maszyna. Już widać brzeg boru. Jeszcze minuta jazdy czy pół.

Wąskie, gotyckie okna z mroku leśnego na szeroki świat, robią się coraz szersze. Jaśnieje. Przesuwają się ostatnie wysokie sosny, jak kolumny przy wyjściu ze świątyni.

Wyjeżdżamy na pole spokojnym, obojętnym i równym stępem. Na seradeli i w kartoflach widać dwie, nie, trzy pasące się sztuki. Jedna z nich podnosi głowę i uważnie patrzy na ciągnący podleśną drożyną wózek.

Jest to kozioł. Zeissowskie szkła mówią, że kapitalny, znany ze zeszłego roku, o charakterystycznie wąsko ustawionym porożu, rogacz.

Strzał mam nawet nie bardzo daleki, ale niewygodny i niebezpieczny, gdyż równolegle do lasu w odległości 400 merów i do tego nieco w dole typowa, kujawska wieś ciągnie się długim pasem w szpalerze smukłych topoli.

Skręcamy więc w prawo na saradelę. Z ukosa będę mógł strzelać spokojnie i wygodnie.

Ale rogacz ma już dosyć naszego kręcenia się po zagonach i miedzach i rusza z miejsca w skok. Widać go wyraźnie i długo jak lekko i zgrabnie płynie, prując zielonkawe żyta niby wodę, jeszcze raz i drugi jakby podrzucony niewidoczną falą, pokazuje się w wysokim susie nad łanami zbóż, aż wreszcie tonie w czarnej ścianie boru.

13 czerwiec 1947 r.

O szarym świcie jesteśmy już na tej samej wąskiej, biegnącej wzdłuż lasu drożynie.

Jadę dziś do kniei pełen dobrego poczucia i dziwnej jakby pewności powodzenia. Nie peszy mnie trzynastka i piątek, nie odstrasza mgła, ścieląca się białym obrusem po ziemi, nie denerwuje źrebak, harcujący wokół wózka, a bez którego kobyła nie chciała się ani krokiem ruszyć z obejścia. Ciekawe, jak sarny będą reagować na rżącego i chodzącego tylko galopem szerokimi woltami, konika.

Od sioła, czerniącego się na wschodniej, amarantowej stronie nieba konturami słomianych strzech leci, jako zupełnie nieoczekiwane tło polowania o świcie, dźwięk harmonii, skrzypiec i bębna w oklepanej, tanecznej melodii. Najwidoczniej zabawa trwa we wsi do białego rana.

Na tym samym co i wczoraj płachetku saradeli tkwi szczęśliwie, nie zrażony ani bliskim parskaniem źrebaka, ani dalekim rytmem swinga, rogacz. Teraz nie dopuszcza jednak wózka tak blisko do siebie jak wieczorem i rusza przecinając nam drogę prosto na las.

Nie ma sekundy czasu do namysłu. To ten sam co i wczoraj, ten sam co i w roku zeszłym kapitalny kozioł.

Zeskakuję więc w wysokie w tym miejscu żyto, aż rosa pryska z mokrych kłosów na twarz. Szczęśliwie dobrze osłonięte szkła pozostają suche i po krótkiej chwili chwytam w lunetę, znajdującą się ciągle w ruchu sztukę.

Komora zwierza. Ostry szpic celownika. Przyspiesznik. Rogacz wciąż idzie. Widać, że już się nie zatrzyma aż w gąszczu. Więc trudno. Wstrzymuję oddech, lekki ruch palca i pada strzał.

Kozioł kładzie się w ogniu.

Oddycham głęboko. Teraz dopiero czuję jak mocno i śpiesznie tłucze się serce. Stoję przez chwilę nieruchomo, parę głębszych oddechów i ruszam spokojnie w kierunku zdobyczy.

Po kilkunastu krokach czuję nagle, że na drylingu nie mam lunety. Masz babo placek! Jest jeszcze przecież zupełnie szaro, żyto pnie się wysoko aż do ramion, przy ziemi kręci się gęsta jak wełna trawa. Schylam się i zaczynam mozolnie szukać zguby. Przychodzi gajowy, kręcimy się po zbożu we dwóch długo, aż przemakamy obaj do pasa.

No wreszcie jest. Nie zakładając zapiaszczonej i zawilgotniałej lunety na szynę trójlufki ruszam teraz już biegiem w stronę zabitej sztuki.

Za żytem w ledwo wschodzących równymi rzędami kartoflach trzepie jeszcze badylami strzelony kozioł. Kiedy jednak podbiegam na 40 kroków rogacz zrywa się, zatacza, przewraca ,aż wreszcie rusza susami coraz równiej i lepiej.

Szkła trzymam w ręku, kulowa lufa przez przygodę z lunetą wbrew doświadczeniom nie nabita, rogacz dosięga już lasu.

W ostatniej zupełnie chwili jakoś szczęśliwie i zręcznie wrzucam kulę do dolnej kamery i z rzutu prawie strzelam.

Rogacz kładzie się po raz drugi w ogniu.

Teraz spokojnie już podchodzę do kozła. W chwili jednak kiedy schylam się już nad zdobyczą, sztuka podrywa się po raz drugi. Ale teraz do lasu rogacz ma tylko dwa susy, więc nie zdążyłem nawet podnieść broni do twarzy, kiedy postrzałek zniknął w gęstych jak szczotka świerkach.

— Ano cóż, nie mogło być inaczej, przecież dziś trzynastego i piątek — mówię do gajowego.

— Rogacz nie pójdzie daleko.

— W każdym razie poczekamy do wschodu słońca. Niech postrzałek dojdzie i niech się zrobi dobre światło do tropienia.

— Dobrze, poczekamy — odpowiada spokojnie gajowy.

Dźwignęło się wreszcie nad horyzont wielkie, nabrzmiałe, malinowe słońce, pociągając jakby minią łany i pola, zalewając pożogą krwistych płomieni las, różowiąc chmury na niebie i nasycając karminem mgły po łąkach.

Zaraz też ruszyliśmy na miejsce pierwszego strzału (106) kroków. Kawałki wyrwanej hamantlem wątroby uspokoiły od razu moją wątpliwość co do znalezienia rannej sztuki. Przez dłuższą chwilę bałem się o pusty strzał.

Do brzegu lasu farba była wyraźna i obfita. W świerkach jednak posuwanie się za tropem nie było łatwe. Toteż w ciągu 15 minut posunęliśmy się w głąb gąszczu nie dalej niż 50 kroków, ledwo dobrnęliśmy do niewielkiej polanki w środku zagaju.

Nagle gajowy wyprostował się i osłaniając ręką oczy od blasku świecącego nisko przez drzewa słońca powiedział:

— A co tam na rzadszym m ejscu czerwienieje.

Przykładam lornetkę do oczu. Tak, to rogacz. Leży na bok nieruchomy, chyba już nieżywy.

Teraz już ostrożnie palcem na spuście podchodzę do sztuki. Ale jest to niepotrzebne. Zwierz leży martwy.

— Ale rogi to rogi — mówi za mną gajowy, kiedy podnoszę łeb kozła do góry.

Tak, parostki są wysoce kapitalne, lepsze niż sądziłem. Wysokość ich wynosi 25 i 25,8 cm, obwód róż 23 cm. Waga z krótko obciętą czaszką 465 gr. kolor piękny, groty dobrze wytarte. Tyki są jednak trochę wąsko zestawione, co pozwala sądzić o poważnym wieku kozła, a co potwierdzają zresztą zęby, mówiące, że rogacz ma 8 — 9 lat.

— Więc nie zawsze jednak piątek i trzynasty muszą przynieść nieszczęście — mówię, śmiejąc się do gajowego.

— Zawsze. Bo pecha miał właśnie rogacz.

Jedno pozostaje tylko dla mnie niezrozumiałe — skąd zwierz strzelony pierwszą kulą na spóźnioną komorę, a po tym poprawiony drugą przez szynkę i miękkie miał tyle sił, i to nie w czasie rujki, by przejść jeszcze z tak ciężkimi ranami dobre sto kroków.

Na zakończenie dnia, nieodzownie jednak z taką datą związany pech przypomniał sobie o mojej osobie, a to w czasie drogi powrotnej „Pekaesem" z Łodzi do Warszawy.

Zaznaczyć w tym miejscu należy, że w 1946 roku nieznane były jeszcze na naszych szosach luksusowe Fiaty, szybkie Leylandy i niezawodne Chaussony. Tabor „Pekaesu" ograniczał się do mocno sfatygowanego demobilu wojskowego, toteż dalsza podróż była mocno niepewna.

W wiekowym „Bedfordzie" najprzód zgubiliśmy akumulator, potem urwał się pasek od wentylatora, a wreszcie szofera ciężarówki, który zabrał nas, biwakujących w rowie, w oczekiwaniu na części zamienne z Łodzi, aresztowano na rogatce Wolskiej za wożenie „łebków".

Ale może to nie był i pech, bo zaraz po przyjeździe jeden z przyjaciół oglądając parostki i słuchając moich skarg na 10-godzinną podróż, powiedział, trawestując poleskie powiedzonko o moście —

— Toż durny widzisz autobus „„Pekaesu" i wsiadasz!

Po usłyszeniu tego stwierdzenia doszedłem do wniosku, że dzień był jednak naprawdę szczęśliwy.

LEON POPŁAWSKI

Zagadnienie szkolenia w łowiectwie

(na marginesie akcji egzaminacyjnej PZŁ)

ZAGADNIENIE szkolenia kadr we współczesnej planowej gospodarce staje się coraz bardziej zagadnieniem o charakterze kluczowym; w naszej obecnej sytuacji problem ten urasta często do miary czynnika warunkującego wprost produkcję, a ściślej — jej wzrost do planowanych rozmiarów.

Sytuacja łowiectwa w tej dziedzinie zasadniczo niewiele różni się od położenia przeważnej części gałęzi gospodarki narodowej, przy czym należy oczywiście tu uwzględnić specyficzne właściwości produkcji łowiectwa. W łowiectwie bowiem czynnymi produkcyjnie są szerokie rzesze myśliwych, rekrutujące się same niemal w stu procentach spośród osób, czynnych zawodowo w najróżniejszych gałęziach życia zbiorowego i gospodarczego, które — stanowiąc ich podstawowe zajęcie — nie mają przy tym nic wspólnego z łowiectwem. Produkcja łowiectwa ma więc niewątpliwie charakter ubocznej, d o d a t k o w e j produkcji, uzyskiwanej przez myśliwych n i e z a l e ż n i e od normalnych ich zajęć zawodowych. Myśliwy, spędzający niedziele i święta na łowach, spędza ten czas z gospodarczego punktu widzenia produkcyjnie — o ile oczywiście nie wraca z reguły do domu z pustymi rękoma i także z pustą ładownicą.

To oparcie produkcji łowiectwa na wynikach osiąganych przez ludzi pracujących zawodowo w najróżnorodniejszych profesjach, stanowi jednak czynnik utrudniający problem szkolenia w łowiectwie. Mamy tu bowiem do czynienia z elementem ludzkim nader różnorodnym, o różnym poziomie inteligencji, wykształcenia, zamiłowań i sprawności fizycznej, poświęcającym łowiectwu tylko krótkie chwile, wolne od zajęć zawodowych. Ponadto jeśli chodzi o środowisko miejskie, element ten jest często absolutnie oderwany od przyrody i nie orientuje się na skutek tego w warunkach życia wsi, będącej przecież terenem hodowli i łowów.

W chwili obecnej mamy zarejestrowanych w Polsce ponad 35.000 myśliwych, zrzeszonych w Polskim Związku Łowieckim. W stosunku do powierzchni kraju oraz jego zaludnienia jest to bardzo niewiele. Sąsiadująca z nami Czechosłowacja liczy bowiem 115.000 myśliwych, inne kraje, jak np. Francja, przedwojenne Niemcy itp. również wielokrotnie więcej.

W stosunku do okresu przedwojennego mamy obecnie wprawdzie przeszło trzykrotnie więcej z r z e s z o n y c h myśliwych, aniżeli przed 1939 r., jednak wówczas nie było przymusu należenia do PZŁ, zaś przedwojenna statystyka wydawanych pozwoleń na broń i kart łowieckich wskazuje na to, iż wówczas dysponowaliśmy jednak większą liczbą myśliwych aniżeli obecnie.

Przedstawiony powyżej w pobieżny sposób stan rzeczy dostatecznie, zdaniem moim, udowadnia tezę, postawioną na początku, iż problem kadr ludzkich również i w łowiectwie jest czynnikiem, warunkującym wzrost produkcji. Tym więcej, iż w naszych warunkach wzrost ten osiągnąć można przede wszystkim drogą rozwoju hodowli i na skutek tego zwiększenia odstrzału drobnej zwierzyny kulturalnej. Wymaga ona jednak, wobec masowości jej występowania na obszarze całego Państwa udziału naprawdę szerokich mas myśliwych dla należytego jej spożytkowania, szczególnie wobec ograniczenia sezonu polowań w praktyce do niewielkiej ilości dni wolnych od zajęć zawodowych.

Chodzi nam jednak nie tylko o i l o ś ć myśliwych, ale w równej mierze, a może nawet przede wszystkim o ich j a k o ś ć, o poziom ich łowieckiej zaprawy i stopień przestrzegania przez nich zasad etyki łowieckiej.

I tutaj mamy analogię z problemem, istniejącym powszechnie w gospodarce narodowej — z problemem braku w y k w a l i f i k o w a n y c h pracowników, z zagadnieniem podnoszenia poziomu wiadomości fachowych drogą szkolenia.

W łowiectwie problem braku sił technicznych istnieje obecnie w nader ostrej formie. Dysponujemy zbyt małą ilością myśliwych, jak na nasze potencjalne możliwości, tj. w stosunku do zaludnienia, obszaru kraju oraz naturalnego bogactwa jego łowisk. Przede wszystkim jednak poziom kwalifikacji naszych szczupłych kadr jest, na ogół biorąc, nieprawdopodobnie niski. I to zarówno poziom zaprawy strzeleckiej, jak i posiadany zasób teoretycznych i praktycznych wiadomości z zakresu łowiectwa. Poziom etyki łowieckiej nierzadko też pozostawia wiele do życzenia.

Do niedawna istniała w praktyce dowolność uprawiania łowiectwa, ograniczona nader jednostronnie wymaganiem uzyskiwania zezwolenia na zakup i posiadanie broni. Władze bezpieczeństwa udzielające tego zezwolenia, nie są bowiem i z natury rzeczy nie mogą być powołane do oceny stopnia przygotowania łowieckiego u kandydata na myśliwego. Toteż kryterium to w praktyce nie było w ogóle brane pod uwagę i zadawalniano się czysto formalnym wymogiem zapisania się na członka PZŁ, tak jak gdyby fakt posiadania legitymacji członkowskiej i otrzymywania „Łowca" wystarczał sam przez się, by zniweczyć wszelkie ujemne skutki braku zaprawy łowieckiej.

Wprowadzone niedawno egzaminy łowieckie nie polepszyły jednak o wiele dotychczasowej sytuacji na tym odcinku. Zauważyć bowiem należy, iż z braku strzelnic ograniczono się do wprowadzenia egzaminu tylko z zakresu posiadanych wiadomości teoretycznych o łowiectwie. W najlepszym razie będziemy zatem wypuszczać w nasze łowiska myśliwych, którzy, posiadając jakieś minimum wiadomości teoretycznych, zaczną uczyć się strzelania w terenie, kosztem, oby tylko zwierzyny, a nie czasem również naganiaczy czy współmyśliwych.

Jako egzaminator z ramienia PZŁ muszę z przykrością stwierdzić, iż to wymagane i posiadane minimum teoretycznych wiadomości jest stanowczo nie wystarczające i na ogół biorąc — skandalicznie niskie. I co znacznie gorzej — twierdzę stanowczo, iż w obecnych warunkach organizacyjnych i przy obecnym systemie rekrutacji myśliwych (tj. egzaminów) nie sposób temu naprawdę skutecznie zaradzić.

U egzaminowanych szwankuje bowiem z reguły najwięcej zasób posiadanych wiadomości z zakresu elementarnej znajomości zwierzyny. I to nie tylko warunków jej bytowania — co przecież musi żywo obchodzić każdego myśliwego — ale często nawet przybliżonego wyglądu zewnętrznego najpospolitszych jej gatunków.

Pomyślmy teraz, iż dajemy tego pokroju „dyplomowanym" myśliwym niczym w praktyce nieograniczone prawo strzelania wszystkiego, co mu się pod lufy nawinie. Byleby tylko w czasie dziesięciominutowego egzaminu odpowiadał na pytania w rodzaju np., co to jest czółenko w dubeltówce (ulubione pytanie egzaminatorów), kiedy broń należy rozładować, jakie są sygnały przy polowaniu w kotły itp. Zaś szczytem zadowolenia bywa prawidłowa odpowiedź na pytanie, jak się nazywają nogi czy uszy u zająca.

Tego rodzaju f o r m a l i s t y c z n e podchodzenie do sprawy egzaminów łowieckich, a zatem do problemu masowego fabrykowania dyplomowanych myśliwych, jest z gruntu błędne i szkodliwe. Myśliwy może mówić o nogach u zająca, może określać czółenko swej dwururki mianem „zamka" itd., gdyż przez to jeszcze nikomu krzywdy nie wyrządza. Ostatecznie nawet w przypadku, gdy nie będzie się prawidłowo zachowywał na zbiorowym polowaniu, doświadczeni koledzy szybko przywołają go do porządku.

Ale zbiorowe polowania odbywają się tylko okresowo, przeważnie tylko w sezonie zajęczym. A i na tych polowaniach nie sposób tylko liczyć na radę doświadczonego sąsiada czy w o l n o mnie w tej chwili strzelać do przebiegającego zwierza lub przeciągającego ptaka. A co będzie w czasie nie kontrolowanych przez nikogo wycieczek łowieckich w sezonie wiosennym i letnim?

Nie zapominajmy bowiem o tym, iż myśliwi prowincjonalni, dzięki bliższemu niż u ich miejskich kolegów kontaktowi z terenem, znacznie częściej niż oni znajdą się w możności strzelania do czegokolwiek właśnie poza zbiorowymi polowaniami. Nie przywiązujmy zbyt wielkiej wagi do zagadnienia drożyzny ładunków, jako hamulca, wywołującego refleksję, iż nie warto dla mięsa strzelać tego nieznajomego zwierza lub ptaka. Zresztą myśliwego obowiązuje też n a k a z strzelania drapieżników, i aby móc temu zadośćuczynić, trzeba umieć rozpoznać je od gatunków obojętnych lub zgoła pożytecznych.

Tyle znajomości trudno zdobyć tylko drogą czytania podręczników. „Dyplomowany" myśliwy, puszczony samopas, jeśli oznacza się często spotykaną żyłką strzelecką, będzie więc strzelać do wszystkiego, co da mu się podejść na odległość strzału. Nie potrzeba chyba dodawać, iż trudno spodziewać się licznego narybku hodowców zwierzyny z tak rekrutowanych i szkolonych kadr myśliwskich.

Stoimy więc w obliczu poważnego dylematu, jak wybrnąć, aby móc pogodzić dwie sprzeczne tendencje. Gdyż wobec niespornej tezy, iż mamy z b y t m a ł o myśliwych, wydaje się, iż należałoby liberalnie odnosić się, przy stosowaniu obecnego systemu rekrutacji, do nader niskiego z konieczności poziomu ich zaprawy łowieckiej. Jeżeli natomiast dążyć będziemy do podwyższenia tego poziomu drogą zaostrzenia wymaganych kwalifikacji, drogą eliminowania elementu naprawdę słabego, należy obawiać się, iż pożądany ze względów gospodarczych i społecznych przypływ nowych członków PZŁ ulegnie niezamierzonemu zahamowaniu.

Jak zwykle, wydaje się, iż prawda leży pośrodku, i że nie sposób mechanicznie hołdować jednej tylko z tych dwóch tendencji, tzn. dawać pierwszeństwo postulatowi zwiększenia ilości myśliwych przed dezyderatem podwyższenia ich kwalifikacji lub na odwrót. Należy szukać środków, wiodących do optymalnego celu stopniowego wzrostu ilości myśliwych, przy stałym wyraźnym podnoszeniu poziomu ich zaprawy łowieckiej oraz ich łowieckiego morale.

Środki realizacyjne dla osiągnięcia tego teoretycznego optimum są wyraźnie dwojakiego rodzaju:

1) w zakresie przygotowania strzeleckiego — rozbudowa sieci strzelnic i stworzenie warunków dla naprawdę szerokiej popularyzacji sportu strzeleckiego, co z kolei umożliwi wprowadzenie wymogu praktycznego egzaminu z umiejętności strzeleckiej dla kandydatów na myśliwych oraz

2) w zakresie przygotowania łowieckiego i podnoszenia poziomu morale — oparcie się, w myśl nowej ustawy łowieckiej, na kółkach myśliwskich, wprowadzenie stażu kandydackiego, z wymogiem odbycia pewnych praktycznych zajęć, a nawet ewentualnie, poddania się pewnemu przeszkoleniu teoretycznemu z zakresu łowiectwa, i to jeszcze przed dopuszczeniem do egzaminu, który nie byłby wtedy tak, jak dziś, tylko czczą formalnością.

Nie będę rozwodził się nad pierwszym punktem, gdyż sprawa strzelnic była już poruszana na łamach „Łowca Polskiego". Sądzę, iż w dobie planu 6-letniego, który w coraz to większej mierze uwzględniać będzie tzw. „inwestycje na człowieka", sprawa ta ruszy nareszcie z miejsca. Interesując się konsekwentnie gospodarczym aspektem sprawy, wspomnę tylko, iż z tego właśnie punktu widzenia absurdem jest, aby początkujący myśliwy uczył się strzelać samopas w terenie, marnotrawiąc nie tylko ładunki, ale i zwierzynę, którą niemiłosiernie kaleczy, powodując w ten sposób tylko bezużyteczną utratę jej dla gospodarki narodowej.

Przejdę zatem od razu do sprawy drugiej, tzn. do problemu wynalezienia środków wiodących do podwyższenia łowieckich kwalifikacji kadr nowych myśliwych. Skuteczny po temu sposób upatruję jedynie w wprowadzeniu wymogu odbycia stażu kandydackiego przed dopuszczeniem do egzaminu, uprawniającego do uzyskania pozwolenia na broń.

Staż ten, trwający 6 — 12 miesięcy, byłby połączony z przymusem odbycia określonej ilości wycieczek łowieckich pod kierunkiem wysuniętych przez kółka przewodników, wybranych z grona naprawdę doświadczonych myśliwych oraz uczestnictwa w charakterze ucznia-widza w paru zbiorowych polowaniach, a to celem praktycznego naocznego przekonania się, jak wygląda i zachowuje się zwierzyna w terenie, jak na-

leży polować na nią, jak zachowywać się na polowaniu itd.

Zaznaczam iż odbycie stażu kandydackiego przy danym kółku nie powinno oznaczać bynajmniej przymusu dla kółka przyjęcia tego kandydata w poczet członków. Wręcz przeciwnie, w moim pojęciu kółka powinny nadal być oparte na zasadzie dobrowolności zrzeszania się, co pociąga za sobą swobodę ich w dobieraniu sobie członków. Istota polowania, będącego produktywnym sportem, pożyteczną rozrywką ludzi czynnych gdzie indziej zawodowo, wyklucza bowiem stosowanie przymusu przyjmowania kogoś obcego do grona osób zżytych już ze sobą. Nie zamierzam propagować czynienia z kółek łowieckich czegoś w rodzaju związku zawodowego, chociażby dlatego, iż myśliwi należą do najrozmaitszych zawodów, a zatem postulat uprawiania łowów w gronie znajomych jest w pełni uzasadniony.

Ten liberalny punkt widzenia nie uzasadnia jednak oczywiście w moim pojęciu niemożności pociągania kółek myśliwskich do przymusowych świadczeń tam, gdzie chodzi o interes ogółu, tj. w danym przypadku przy załatwianiu problemu praktycznego szkolenia narybku myśliwskiego. Nowa ustawa łowiecka da nam tu niezbędne podstawy prawne, zaś rzeczą nowego PZŁ będzie stworzenie ram organizacyjnych.

Praktycznie wyobrażam sobie realizację projektu w ten sposób, iż łowczy powiatowi kierować będą kandydatów na myśliwych do kół łowieckich, posiadających siedzibę lub tereny na obszarze ich powiatów. Rzeczą kółek będzie umożliwienie kandydatom wzięcia udziału w przepisanej ilości wycieczek łowieckich i zbiorowych polowań, i to pod kierunkiem doświadczonych myśliwych. Ten ostatni postulat wymaga oczywiście odpowiedniej selekcji kółek.

Tokujące bataliony (odznaczone I nagrodą)

Fot. L. Pac Pomarnacki

Selekcję tą przeprowadzałyby terenowe organy PZŁ, do których należałby też i nadzór nad przebiegiem akcji szkolenia, ustalanie wytycznych tej akcji itd., — słowem baczenie, aby odbycie przez kandydatów przepisanej ilości wycieczek oraz udział w polowaniach zbiorowych nie były li tylko nową czczą formalnością, ale rzeczywiście dawał im możność praktycznego zapoznania się ze zwierzyną, bytującą w naszych łowiskach, której to możności w tym stopniu na pewno nie da im nigdy najlepszy nawet podręcznik łowiecki, ani też akcja wykładowa, prowadzona przez rady wojewódzkie.

Celem stworzenia odpowiedniej zachęty dla kółek w prowadzeniu akcji szkolenia można by do pewnego stopnia premiować akcję tą, udzielając wyróżniającym się kółkom np. preferencji przy wydzierżawianiu terenów łowieckich, uzyskiwaniu odstrzałów w lasach państwowych, dalej drogą bonifikaty z Funduszu Łowieckiego części kosztów wycieczek i polowań „szkoleniowych" itd.

Nie sposób oczywiście w ramach artykułu precyzować bliżej formy organizacyjnej proponowanej reformy systemu rekrutacji myśliwych. Niesporne jest, iż system dotychczasowy, oparty na powierzchownym, teoretycznym egzaminie, jest zły, nie wystarczający i wymaga częściowej zmiany. Poza tym nie sposób obecnie, na szeroką skalę, prowadzić niezbędnej ostrej selekcji ludzi, pragnących polować, dopóki nie da im się możności opanowania niezbędnego minimum teoretycznych i praktycznych przede wszystkim wiadomości z zakresu łowiectwa Ale skoro tego rodzaju możność będzie istniała. winna ona być przez kandydatów na myśliwych wykorzystana, czego probierzem będzie wtedy egzamin, zasługujący na to miano, połączony z próbą praktyczną na strzelnicy.

Warto przypomnieć, iż z dawien dawna istnieją ograniczenia przy dopuszczaniu do uprawiania szeregu sportów (np. pływactwo, wioślarstwo, żeglarstwo, kolarstwo w miastach itd.) i jakoś nikt nie uważa tych ograniczeń za niesłuszne, chociaż zostały one wprowadzone właściwie w interesie osób, pragnących uprawiać te sporty. W przypadku łowiectwa wchodzi tu w grę przede wszystkim interes wyższego rzędu, bo interes publiczny. Tym większa odpowiedzialność spada zatem na tych, którzy dopuszczają ludzi zupełnie nieprzygotowanych do tego w grono praktykujących myśliwych.

Sądzę, iż poruszona wyżej sprawa, z uwagi na jej niezwykłą doprawdy wagę dla przyszłych losów naszego łowiectwa, powinna być poddana publicznej dyskusji, celem możliwie wszechstronnego jej oświetlenia. Nim to jednak nastąpi, apeluję tą drogą do Kolegów egzaminatorów, aby zwracali baczną uwagę na wymóg posiadania przez kandydatów pewnego niezbędnego minimum znajomości naszej krajowej zwierzyny, nie wyłączając i drapieżników, i w braku jej, nie wahali się żądać powtarzania egzaminu. W chwili obecnej jest to bowiem jedyna droga, wiodąca do ochrony naszych zwierzostanów, — więcej nawet, naszej fauny w ogóle — przed niepowetowanymi może stratami.

WŁODZIMIERZ KORSAK

Z aparatem fotograficznym w puszczy

Na jesieni 1929 r. wyruszyłem w wyprawę po nowe „trofea bezkrwawe" w puszczę. Droga była fatalna, wózek to tonął w błocie, to skakał jak piłka po niemieckich „nakładkach" — na pół przegniłych mostowinach którymi w okresie pierwszej wojny światowej wymaszczano drogi puszczańskie. Pozostawiłem więc tłomok z rzeczami na wózku, a sam, ze strzelbą i aparatem ruszyłem ścieżkami na przełaj.

Pogoda była przyjemna, ciepła i cicha, mgliste powietrze jesienne oblekało przejrzystym tumanem dalekie perspektywy leśne, zalane łagodnym światłem słonecznym, koronka nagich gałęzi drzewnych fioletowymi cieniami roztaczała się przede mną.

Cudowna to była droga. Obuty w skórzane łapcie, lekką stopą kroczyłem ledwo znacznymi ścieżynami przez bagna, bory, mszary i łąki, napawając się wonią jesieni, rozlaną szeroko wśród lasów.

Spotykałem po drodze zwierzynę. Kilka razy dostrzegłem sarny, mknące w polotnych susach przez łozowe krzaki, w świerkowej gęstwinie ciemnego ostrowu burknął z nagła spłoszony jarząbek, na mszarze załopotały skrzydła głuszca.

Przy jednej z mszarnych sosnowych wysp dojrzałem zdaleka siedzącego na suchym drzewie jakiegoś drapieżnika. Ostrożne podkradanie się umożliwiło mi zrobienie przygotowanym zawczasu teleobiektywem zdjęcia, na którym tkwi pionowa, a tak charakterystyczna postać sokoła wędrownego, szykującego się do ucieczki.

W jednym z obchodów gajowy, stary wyga, zapewnił mnie, że na mijanym niedaleko świerkowym „ostrowie" stale trzymają się dziki i że, gdybym chciał, mógłby mi je napędzić. Zgodziłem się chętnie, mając na myśli utrwalenie na kliszy zwierzyny, a nie strzelanie, do którego nie byłem przez właściciela upoważniony.

Stanąłem więc na terenie ostrowu naprzeciw wąskiego przesmyka, łączącego go z sąsiednią wyspą. Zawalony wykrotami teren był dziki i odludny, tchnienie prawdziwej puszczy wiało tu, a oko mimowoli

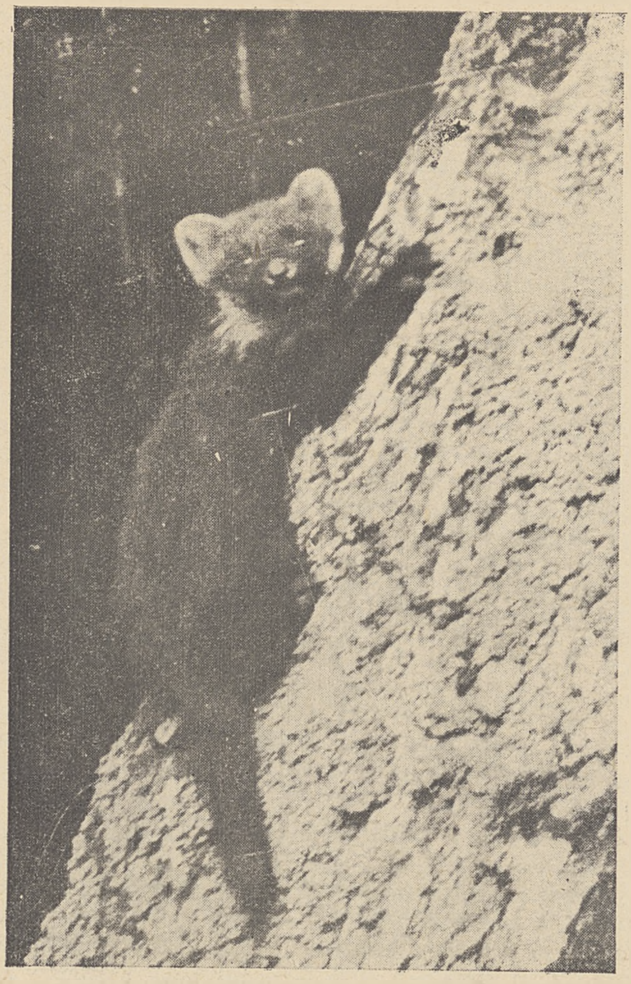

Młoda kuna (odznaczone II nagrodą) Fot. H. Mandel

szukało nici strumienia leśnego, jak na rysunku grottgerowskim.

Pół godziny minęło i raptem posłyszałem przed sobą tętent i trzask gałęzi. Stary myśliwiec nie omylił się: trzy dziki szły na mnie, a skręciwszy nagle w bok, mijały mnie na piętnaście kroków, migając czarnymi cielskami pomiędzy pniami drzew i wykrotami. Złapałem je na wizjer, trzasnęła migawka. Po niewczasie zreflektowałem się, że należało mi stanąć na miejscu bardziej otwartym, w samej szyi przesmyku. Silne cienie i światła uczyniły zdjęcie zbyt kontrastowym; trudno, do wszystkiego trzeba wprawy! Do strzału kulowego miejsce było dobre, dla zdjęcia — za gęste.

Pod wieczór niedaleko rzeki ujrzałem nagle wzbijające się przed sobą dwa duże ptaki, które w wielkich kręgach szły ku górze, majaczące plamami szerokich skrzydeł na tle perłowego nieba. Skierowana ku nim lorneta ukazała mi sylwetki dwóch wspaniałych orłów — bielików, widocznie starych, bo mających wyraźnie białe ogony, a jasnopłowe szyje. Śliczny był widok potężnych ptaków, wzbijających się ku górze i pławiących się w nieruchomym powietrzu nad swym królestwem.

Późnym wieczorem dotarłem wreszcie do rzeki, naprzeciwko leśniczówki w Tuchowiczach. Tam w nocy doczekałem się moich rzeczy, które musiały na wózku nałożyć drogi, jadąc przez most w Horodyszczu.

Nazajutrz raniutko, uzbrojony w aparat i lornetę, wyruszyłem do uroczyska „Kul", mając nadzieję spotkać się z łosiami. Ubrany lekko, ale z kożuszkiem przytroczonym za plecami, w trzy godziny przeszedłem 16 km., dzielących mnie od za-

chodniego brzegu „Kula", gdzie najłatwiej można się było spotkać z rzadkim zwierzem, ponieważ tamtędy prowadził kierunek za rzekę — do miejsc rykowiska.

Teraz wprawdzie pora rykowiska dawno już przeminęła, ale ciąg zwierza pozostawał ten sam i najwięcej było szans ujrzenia łosia, trudnego pozatem do spotkania na przestrzeni 5.000 ha błotnej gęstwiny, które zajmuje „Kul".

Cichy, bezwietrzny dzień minął na wałęsaniu się wzdłuż po żółtych trawach i oczeretach w nierówną linię brzegach odartego już z pożółkłych liści lasu. Chmurny zmrok zastał mnie przy niewielkim ognisku na skraju lasu, w gęstych łozach i trzcinach. Tu na wielkiej kępie miękkiego mchu przedrzemałem jesienną noc obok tlącego zarzewia spopielałego ogniska, pod przykryciem ciepłego kożuszka.

O pierwszym brzasku świtania wyruszyłem znów na dalszą wędrówkę — ciche przemykanie się po bagnistych ostępach zachodniej części „Kula". Koło południa zarzymałem się na posiłek przy polanie, pokrytej zwalonymi pniami brzozy. Ukryty za drzewem, siedziałem na kępie, gryząc powoli kęsy chleba, dobytego z plecaka. Zadumanym wzrokiem błądziłem po białych kolumnach brzóz, po misternym rysunku gałęzi, po wyniosłych czubach świerkowego ostrowu, położonego po przeciwnej stronie polany.

Mgliste ciepłe powietrze, nasiąkłe wonią butwiejących liści, mokrych zwiędłych traw i kory drzewnej, nieruchomą oponą legło na otaczający mnie dziki, pierwotny świat. Zdawało mi się, że ten daleki od ludzi zakątek jest w tej chwili taki sam, jakim był tysiąc i dwa tysiące lat temu, że cofnąłem się wstecz ku zaczątkom kultury ludzkiej. Przyroda zamarła. Ani jeden dźwięk nie przerywał monotonnej ciszy, ani jeden ruch nie mącił bezwładu letargu, który ogarnął i ziemię i niebo i wszelkie żywe stwory.

Raptem drgnąłem i ręka, niosąca do ust jedzenie, znieruchomiała w pół drogi. Wprost przede mną w krzakach łozy u brzegu ostrowu zamajaczył jakiś nieuchwytny cień. Wlepiłem oczy w to miejsce i czekałem. Po chwili znów ruch niewyraźny. Jeszcze moment i pomiędzy gęstwiną poplątanych gałęzi dojrzałem ciemną postać łosia, idącego ku mnie na kulawy sztych.

Doczekałem chwili, gdy zniknął mi znów za zwartym krzakiem i szybkim ruchem przesunąłem z poza pleców na kolana futerał z aparatem. Potem możliwie cicho otworzyłem i nastawiłem odpowiednią migawkę.

Gdy podniosłem znów głowę, spostrzegłem dwie sztuki, idące brzegiem polany, bokiem ku mnie, w odległości mniej więcej 80 kroków. Posuwały się tak cicho, że nie dochodził mnie najlżejszy szelest, sunęły, niby ciemne duchy, płynące tuż nad ziemią.

Przodem szła łosza, za nią o dziesięć kroków niezły byk o łopatach 4—5 palczastych.

Z aparatem gotowym do strzału w ręku, podnosiłem się zwolna z mej kępy, tak by otaczające mnie gałęzie niskiej łozy nie zasłaniały widoku. Właśnie i łosza zauważyła ten ruch podejrzany, bo stanęła nagle i zwróciła łeb ku mnie. Sucho trzasnęła migawka i w tej samej chwili spostrzegłem, że stojący z tyłu byk, widoczny dla mnie w całości, mógł być zakryty dla niżej trzymanego aparatu przez pochyły pień brzozy.

Nie namyślając się, zdarłem papierek filmpaku i, nie licząc się już z ruchami rąk, nakręciłem na nowo migawkę. Czujne jednak zwierzęta nie wytrzymały. Ostro skręcając w las, poszły szybkim kłusem wprost ode mnie, głośnym trzaskiem gałęzi, chlupotem wody błotnej i stukiem racic o korzenie oznajmiając szeroko wkoło o przerażającej przygodzie.

Powtórne zdjęcie, zrobione za nimi, nie okazało już ani śladu zwierzyny, a tylko pusty las, taki jak go widziałem przedtem — w godzinie nieruchomej kontemplacji i rozmyślań.

Pierwsze zdjęcie dało niezły, chociaż nieco przez odległość zatarty obraz pięknej pary, byk jednak, tak jak przypuszczałem, w przedniej części zakryty był przez brzozę.

Łosie w puszczy — **Fot. W. Korsak**

PROF. DR STEFAN LEWICKI

WYMIERAJĄCY GATUNEK

MAM na myśli głuszca lubelskiego. Królewski ten ptak trzyma się obecnie jeszcze w lasach sąsiadujących z sobą powiatów Kraśnik (Janów), Biłgoraj, Zamość. Nie zamierzam tu wchodzić w urzędowe statystyki, podające ilość głuszców w takich czy innych nadleśnictwach. Sądzę jednak, że stan kogutów nie przekracza 30 sztuk, zaś kur jest prawdopodobnie niższy, oraz że stan ten ulega tylko nieznacznym wahaniom pomimo starannej ochrony ze strony władz leśnych i braku odstrzału. Punkt ciężkości zagadnienia leży, zdaniem moim, gdzie indziej i o tym właśnie chciałbym podać do wiadomości czynnikom miarodajnym, ochronie przyrody i myśliwym biologom.

Przez dwa ostatnie lata wyjeżdżałem — za zezwoleniem odpowiednich władz — na toki głuszców w okolice Zaklinowa, Lipy, Kocudzy, Janowa, gdzie spędziłem ponad 12 wieczorów i ranków, lecz ani razu nie doszedłem do strzału. Nie doszedłem po prostu dlatego, że koguty nie tokowały wcale lub zgoła nienormalnie, że tokowisko nie było miejscem zawodów — jak to być powinno w znaczeniu rywalizacji o zdobycie kury, a było raczej smętnym wspomnieniem minionych tego rodzaju zawodów. Tu muszę w nawiasie zaznaczyć, że jestem starym myśliwym, a głuszce znam z polowań w Rosji, zaś sprzed ostatniej wojny — z Białowieży i Polesia. Otóż, jak wiadomo dobrze, głuszec na zapadach wieczornych zachowuje się normalnie (i przeciętnie) w ten sposób, że zasiada na odpowiednim dla rannego toku drzewie (zwykle sośnie), tj. o konarach zezwalających mu na pewną swobodę ruchów, zwykle poprawia się jeszcze parę razy, a nawet zatokuje, a przynajmniej „poda głos". Stwierdzam co do ostatniej okoliczności, że nie słyszałem podczas tych 2 lat ani jednej wieczornej pieśni głuszca lubelskiego, w najlepszym przypadku parokrotne klapnięcie, zwykle zupełną ciszę. Nadto, przez 7 na 12 spędzonych wieczorów, głuszce zasiadały bądź w koronie większej sosny o „namiotowych" kształtach, kryjących je niemal całkowicie, bądź zgoła w czubkach sosenek kilkometrowej wysokości, uniemożliwiających technicznie z góry normalne przeprowadzenie toku.

Bobry na Brdzie (odznaczone III nagrodą)
Fot. R. Józefski

Lecz największe (oczywiście w sensie myśliwskim) rozczarowanie przychodziło z rana. Były to ranki różne: zmieniające przepiękną, rozgwieżdżoną noc, o przymrozkach i bez, były pochmurne i ciepłe, były o poświacie księżycowej przed brzaskiem tak jasnym, że wprowadzały w błąd nawet drozda śpiewaka, a podwójnie wzmacniały chóralny zew żurawi. Tylko moje głuszce nie reagowały na nic. W ogromnej bowiem większości przypadków — niezależnie, powtarzam, od przebiegu pogody — „toki" kończyły się na parokrotnym klapnięciu, jednej lub dwu pieśniach, a zwykle na kompletnym milczeniu. Nader wcześnie, bo na słabym brzasku, koguty ulatywały, lecz nie na ziemię w pobliżu, a zgoła w niewiadomą dal. Jedynie 2 razy — na 12 poranków w ciągu 2 lat — ściśle tylko 2 razy słyszałem tok poranny prawie normalny: w jednym przypadku głuszec zagrał 4 razy nader wcześnie, siedząc w czubku karłowatej, bagiennej sosenki, po czym zleciał, zaś w drugim — to-

kował od przedświtu na grubym, nisko osadzonym konarze tak, że znajdując się od niego nie dalej jak 30 metrów, nie mogłem go jeszcze dojrzeć, po czym zleciał w pobliżu na ziemię (zupełnie, oczywiście, ciemną), zagrał jeszcze raz i zerwał się niespłoszony żadnym moim ruchem.

Lecz gdzie kury? Nie było ich wcale, względnie niekiedy były, i tu właśnie, zestawiwszy spokojnie wszystkie obserwacje, dochodzę do pewnych wniosków, będących celem niniejszej notatki. Szczególnie dużo do myślenia dały mi dwa ostatnie tegoroczne ranki i wieczory. W jednym z nich zasadziliśmy 3 koguty w promieniu około 300 metrów. Rano tylko jeden z nich zagrał raz czy dwa, pozostałe nawet nie klapnęły (przy pięknej pogodzie). Po wyruszeniu z tokowiska spotkaliśmy w odległości nie mniejszej jak 500 m 2 kury, które nie podały żadnego głosu.

W inny wieczór obsadziliśmy 2 koguty w promieniu około 200 metrów i — co było najbardziej obiecujące — przy jednym z nich zapadła również kura. Lecz rankiem ciepłym, bezwietrznym, ten właśnie kogut zagrał jedyny raz jeszcze na przedbrzasku, po czym zleciał; drugi nie odezwał się w ogóle: znaleźliśmy go później siedzącego w gęstym igliwiu malutkiej, bagiennej sosenki.

Czego to wszystko zdaje się dowodzić? Mam wrażenie, iż bierność kogutów (względnie kur) nasuwa poważnie przypuszczenie o fizjologicznych skutkach chowu w pokrewieństwie. Miejscowi leśnicy nie obserwują lub mało, młodych ptaków, znajdują puste gniazda, stwierdzają przez parę lat z rzędu tę samą ilość kogutów w tych samych miejscach. Niedawno (bieżącą wiosną) zdarzył się przypadek zagryzienia na ziemi przez psa gajowego starego koguta zupełnie osłabionego, którego stan chorobowy miał potwierdzić weterynarz (jakoby gruźlica). Dalszą okolicznością przemawiającą za moją hypotezą jest fakt znacznego geograficznego odosobnienia lubelskiego głuszca. Zarówno od sąsiada wschodniego, jak południowo — i północno - zachodniego dzielą go zbyt duże odległości, co przy słabej na ogół przelotności głuszca i jego przywiązaniu do terenu, uniemożliwia w praktyce wymianę krwi i zmusza go do chowu osobnego na obszarze lubelskim i bez tego o nader wąskim zasięgu. Do tego dochodzą jeszcze specyficzne siedliskowe wymagania głuszca, nie zezwalające mu na przesiedlanie się, względnie zajmowanie większych sąsiednich lasów, nie odpowiadających wymaganiom takiego siedliska, a także, chociaż w mniejszym stopniu ,wolne, ale niekorzystne zmiany zachodzące w ich właściwym siedlisku. Mam tu na myśli nie tyle jednorazowe, chociaż duże szkody w ilościowym stanie głuszca lubelskiego, spowodowane wojną i partyzantką w lasach, ile gospodarką ludzką: przecięcie głębi lasów kolejką eksploatacyjną, osuszanie mszarów dla poprawienia jakości drzewostanów, a wreszcie— może największe straty — powodowane nadmiarem lisów, wybierających na gniazdach głuszyce i ich przychówek. Jeżeli do tego ten przychówek zmuszony jest od dawna do rozmnoży w obrębie mniej lub więcej bliskiej rodziny, nie można, zdaniem moim, dziwić się ani brakowi przyrostu naturalnego głuszca lubelskiego, ani też jego anormalnemu zachowaniu się w tak charakterystycznym dlań okresie, jakiemi są niewątpliwie wiosenne toki.

Jakiż stąd wniosek? Biologicznie rzecz traktując, głuszec lubelski jest reliktem. Jako taki — podobnie do żubra u nas — wymaga nie tylko ochrony, ale niemniej zabiegów hodowlanych. Nie będą one, przynajmniej na najbliższy okres, skomplikowane: należy po prostu i czym prędzej dopuścić do paru punktów obecnego siedliska głuszca lubelskiego kilka par młodych ptaków z dalszych miejsc gniazdowania, np. krwi augustowskiej, tatrzańskiej lub innej. Im geograficznie dalsze będzie pochodzenie sprowadzonych głuszców, tym bardziej — zgodnie z nowoczesnymi zasadami biologii — można spodziewać się szybszego odnowienia siły życiowej głuszca lubelskiego. Dlatego, być może, jeszcze więcej było by wskazane importowanie głuszców rosyjskich lub skandynawskich.

Rzecz cała, przedstawiona przeze mnie tutaj, zasługuje na rozważenie czynników miarodajnych. Nie dopuszczam zupełnie możliwości zaginięcia w lubelskim tego przepięknego, a tak już u nas rzadkiego ptaka, bo wówczas nie tylko jako myśliwi, ale jako miłośnicy przyrody obecnie za nią odpowiedzialni, staniemy przed sądem najbliższych potomnych. Jeżeli, poczuwając się sam przede wszystkim do obowiązku obrony tej przyrody zarówno, jako jej miłośnik jak i z tytułu zajmowanego przeze stanowiska naukowego i udziału w Lubelskiej Wojewódzkiej Radzie Łowieckiej, mógłbym czynnie dopomóc w dziele odnowienia tutejszego głuszca, — jestem zawsze do dyspozycji.

Od Redakcji Sprawę poruszoną przez Autora uważamy za bardzo poważną i prosimy kolegów myśliwych i przyrodników, posiadających własne spostrzeżenia odnośnie głuszca w ogóle, a lubelskiego w szczególności, do wypowiadania się na łamach naszego organu .

Obozowisko nad Narwią (z serii odznaczonej III nagrodą)
Fot. L. Zakrzewski

ROMAN FEILL

Opiekujmy się bażantem

RACJONALNA gospodarka łowiecka i związana z nią hodowla zwierzyny łownej stanowi ważką pozycję w ogólnonarodowej gospodarce. Łowiectwo może dostarczyć Państwu nie tylko znacznych ilości mięsa na rynek krajowy, ale również cennych dewiz za wyeksportowaną dziczyznę bitą i zwierzynę żywą, która poszukiwana jest na rynkach zagranicznych.

Jedną z gałęzi gospodarki łowieckiej jest hodowla bażanta, która była w Polsce przed wojną rozpowszechniona, a obecnie jest całkowicie zaniedbana. Okupacja, panoszące się kłusownictwo i wnykarstwo, brak opieki i dokarmiania bażantów w czasie zimy, doprowadziły do wprost katastrofalnego zaniku tego ptaka na terenie Polski. Zwłaszcza kłusownictwo jest groźne dla hodowli bażanta, jest on bowiem najmniej ostrożnym ptakiem spośród naszych ptaków łownych, łatwym do złapania czy też zastrzelenia w czasie zimy.

W porównaniu z gospodarką łowiecką w Czechosłowacji, gdzie już w ciągu najbliższego czasu hodowla doprowadzi do stanu bażantów, określającego się cyfrą przeciętną 1 bażant na 1 ha obszaru całego kraju, nasza hodowla bażanta w ogóle nie istnieje, a stan ilościowy tego ptaka nie ma praktycznego znaczenia gospodarczego.

Niewątpliwie warunki hodowlane bażanta w Polsce są znacznie gorsze niż w Czechosłowacji, gdzie teren pokryty jest drobnymi laskami o doskonałym podszyciu, specjalnie nadającym się do hodowli bażanta. U nas spotykamy przeważnie wielkie kompleksy leśne, zupełnie do tego celu nie nadające się, a obfitujące w grubą zwierzynę łowną. Prócz tego kłusownictwo i wnykarstwo w Czechosłowacji praktycznie nie istnieje, gdy u nas walka na tym polu jest w pełnym toku, a ciągle jeszcze to szkodnictwo nie zostało zwalczone.

Niemniej jednak przy racjonalnie prowadzonej hodowli bażanta w Polsce ilość pogłowia, określająca się cyfrą ponad 3.000.000 sztuk jest możliwa do osiągnięcia, bowiem przeciętne nasilenie kraju w ilości 1 bażant na 10 ha powierzchni kraju, po kilku latach racjonalnej gospodarki hodowlanej nie przedstawi specjalnych trudności. Przy tym stanie będzie można otrzymać rocznie około 1.000.000 sztuk bażantów do sprzedaży, częściowo jako żywy materiał hodowlany, częściowo jako zwierzynę bitą.

Ze względu na tak znaczną pozycję w handlu międzynarodowym jak i na wewnętrznym rynku mięsnym, zagadnienie hodowli bażanta w Polsce staje się nader ważne.

Aby hodowlę tą ruszyć w Polsce z martwego punktu, i by dała ona korzyść powszechną, a nie tylko poszczególnym osobom czy stowarzyszeniom łowieckim, musimy wyjść z zasady, że wszyscy hodować będziemy bażanty. W określeniu „hodować" nie mam na myśli faktu, że każde koło łowieckie zakładać będzie woliery, zakupywać jaja bażancie i wpuszczać w teren kosztowny materiał hodowlany. Chodzi mi przede wszystkim o zastosowanie ochrony bażanta.

Ze względu na to, że bażant jest ptakiem często zmieniającym swoją ostoję, zwłaszcza, gdy w terenie nie znajduje wystarczającej ilości karmy, możemy spotkać go tam, gdzie się go nie spodziewamy, nawet w znaczniejszych odległościach od miejsc jego hodowli. Jeśli bażant taki zabłąkał się w nasze łowisko — nie strzelajmy do niego, nie zastanawiając się skąd przywędrował, a przeciwnie — zbudujmy prowizoryczną niewielką budkę z gałęzi świerczyny i podsypujmy regularnie nieco ziarna z plewą. Bażant taki, znalazłszy właściwą dla siebie ostoję, może pozostać na stałe i być zaczątkiem hodowli na większą skalę ,którą w przyszłości można będzie założyć, wpuszczając bażanty sprowadzone z innych ośrodków hodowlanych.

Spółdzielnia „Jedność Łowiecka" rozpoczęła w 1950 r. racjonalną hodowlę bażanta .Hodowla ta na razie zapoczątkowana została w skromnym zakresie i traktowana jest doświadczalnie. Wyniki jednak hodowlane — nie wątpię w to — nie każą na siebie długo czekać, bowiem bażant jest nadzwyczaj wdzięcznym ptakiem w hodowli, pod warunkiem jednak, że akcja hodowlana zapoczątkowana przez „Jedność Łowiecka" nie będzie „głosem wołającego na puszczy".

Wyniki bowiem hodowli bażanta będą o wiele szybciej widoczne, jeżeli pionierzy tej pięknej hodowli spotkają się nie tylko z poparciem swych sąsiadów w gospodarce łowieckiej, ale i z równolegle prowadzoną akcją hodowlaną. Wówczas oba łowiska ze sobą sąsiadujące i ściśle współpracujące, będą miały szybkie rezultaty swych wysiłków, a rozkłady, dotychczas ubogie w naszych łowiskach polnych, urozmaici i okrasi ten piękny ptak.

W roku przyszłym projektuje się import żywych bażantów z Czechosłowacji ,analogicznie do tego, jak to miało miejsce w roku bieżącym. Bażanty pochodzące z importu są co prawda kosztowne, niemniej konieczne jako materiał wyjściowy dla dalszej hodowli. Spółdzielnia „Jedność Łowiecka" dążyć będzie do dostarczenia kołom łowieckim materiału hodowlanego bażantów po cenie znacznie niższej, pochodzącego już z hodowli krajowych. Rzecz zrozumiała, że w pierwszym rzędzie Spółdzielnia nasili prowadzone przez siebie ośrodki hodowlane, w drugiej zaś kolejności sprzedawać będzie materiał hodowlany kołom łowieckim, czy też innym nabywcom. Plany przewidują ,że sprzedaż materiału hodowlanego rozpocznie się w sezonie łowieckim 1951 — 52, i że na zbycie przeznaczona będzie znaczna ilość kompletów. Projektuje się również import jaj bażancich w roku przyszłym, jednak sprawa zakupu jaj za granicą natrafia na dość poważne trudności.

W jaki sposób ruszyć obecnie z hodowlą bażantów?

Jeśli nie posiadamy żadnego materiału hodowlanego w naszym łowisku, to sprawa ta jest trudna, bowiem w roku bieżącym ani jaj bażancich, ani też żywych bażantów zakupić nigdzie nie będzie można. Z akcją tą zaczekać trzeba będzie do roku przyszłego.

Jeśli natomiast posiadamy bażanty w swoim łowisku, wówczas musimy im zapewnić bezwzględny spokój w okresie lęgów, strzelając drapieżniki ,a więc koty i psy włóczące się w łowisku, jastrzębie, a przede wszystkim wrony i sroki, które czynią prawdziwe spustoszenie zarówno wśród jaj bażancich, jak i wśród piskląt.

W ciągu lata trzeba zbudować kilka budek - paśników. Do budek tych już w lecie sypiemy nieco plew pszennych lub owsianych, by bażanty przychodziły do tych paśników i grzebiąc się w plewach, przyzwyczajały się do karmy, która zakładana będzie w czasie zimy.

Zimą ,gdy mróz zetnie ziemię, bażant zaczyna cierpieć dotkliwy głód, nie umiejąc znaleźć sobie dość karmy. W połowie października rozpoczynamy systematyczne dokarmianie bażantów w przygotowanych paśnikach. Sypiemy z początku drobne ilości karmy, licząc się z tym ,że w październiku bażant dożywi się w polu, zwiększając stopniowo dawkę aż do 50 gramów ziarna dziennie na jedną sztukę, gdy mamy pewność ,że bażanty do paśników przychodzą, i gdy silne mrozy uniemożliwiają bażantowi zdobycie naturalnej karmy. Najlepsza pasza — to poślad pszenicy, odpady przy czyszczeniu pszenicy i jęczmienia wraz z nasionami chwastów, a w razie niemożności nabycia tego rodzaju paszy, która jednocześnie jest najtańsza — pszenica lub jęczmień tzw. III standartu ,nie nadające się do konsumcji, a przeznaczone wyłącznie na paszę. W paszę tę należy zaopatrzyć się jesienią na całą zimę ,licząc na jednego bażanta przeciętnie około 6 kg ziarna, które dawać będziemy przez okres 4 — 5 miesięcy. Gdy nie ma silnych mrozów możemy dawać do budek również buraki pastewne i cukrowe, względnie marchew pastewną, którą chętnie bażanty spożywają, zmniejszając tym samym ilość zakładanej paszy w formie ziarna.

Sprawa założenia poletek karmowych jest nadzwyczaj ważna. Kilka arów ziemi uprawnej, linii oddziałowej zaoranej jesienią lub nawet wiosną czy też nieużytków zaoranych ,na których posadzimy bulwę topinamburu ,ewentualnie posiejemy nieco kukurydzy czy czumizy (proso chińskie), stanowić będzie nie tylko doskonałe schronienie dla bażantów, ale przede wszystkim wspaniałą karmę, która jesienią powstrzymywać będzie bażanty przed poszukiwaniem innych terenów. Kukurydza i specjalnie czumiza, pozostawione na pniu po dojrzeniu, przedstawiają dla bażanta nie byle jaką atrakcję. Podskakuje on do kaczanów i kłosów czumizy, wydziobując pojedyńcze ziarna, a utuczony na tej treściwej i bogatej paszy, zmęczony ciągłym podfruwaniem, pozostaje w łowisku, tracąc chęć do jesiennych wędrówek.

Późną jesienią, by utrzymać racjonalny stosunek płci, musimy przeprowadzić odstrzał. Aby stosunek ten był właściwie utrzymany, i aby nie odstrzelić nadmiernej ilości kogutów, co może przyczynić nam znaczne straty w następnym roku, należy sporządzić szczegółowy plan odstrzału, opierając się na częstych obserwacjach i lustracjach terenu, zwłaszcza w miejscach, gdzie bażanty zaczniemy dokarmiać. Najłatwiej ustalić ilość kogutów wieczorami, gdy zasiadają na drzewach na nocleg. Każdy kogut, wzleciawszy na drzewo ,zazwyczaj raz jeden zapieje. W ten sposób łatwo jest policzyć wszystkie koguty, omal do jednej sztuki, jakie mamy w rejonie naszego miejsca obserwacji. Na zimę musimy pozostawić bezwzględnie jednego koguta na cztery kury, licząc się z tym, że część kogutów nawet wiosną wyjdzie z naszego łowiska.

Hodowla sztuczna, wolierowa, względnie sztuczny wychów bażantów z jaj, połączony jest z dużym nakładem finansowym. W roku bieżącym, ze względu na brak materiału, ten rodzaj hodowli nie będzie aktualny. Natomiast hodowla bażanta na dziko jest łatwa i mało kosztowna, chcąc jednak, aby dała większe rezultaty i tym samym przyniosła nie tylko korzyści dla hodowców, ale i dla Państwa, — MUSI BYĆ POWSZECHNA. Żaden najlepszy hodowca, nie dojdzie do żadnych rezultatów, gdy będzie miał sąsiada „wspólnika", który będzie strzelał nie hodując, nie dbając o zwierzynę i łowisko.

Wydaje mi się, że są cztery zasadnicze momenty w hodowli bażanta, gwarantujące powodzenie zamierzonej pracy:

1) walka z drapieżnikami i kłusownictwem,

2) dokarmianie bażantów w czasie zimy,

3) utrzymanie racjonalnego stosunku płci,

4) dobór odpowiedniego terenu.

Te cztery warunki ,połączone z drobnymi nakładami hodowlanymi w postaci karmy zimowej, zapewnią egzystencję bażanta w większości naszych łowisk.

JÓZEF GIEYSZTOR

ŁOWIECKIE

BIORĄC udział w Komitecie Redakcyjnym „Łowca Polskiego" od 1925 r. czyli przez okres 25 lat, zetknąłem się bliżej z zagadnieniem ilustrowania pisma łowieckiego, z zagadnieniem, które mnie specjalnie interesowało. I tu stwierdziłem, że zagadnienie to jest nie tylko poważne, ale i trudne do rozstrzygnięcia.

Najłatwiejszą drogą do zapełnienia stron pisma ilustrowanego jest posiłkowanie się zdjęciami fotograficznymi. Sposób dobry, jeżeli chodzi o materiał dokumentarny, dowodowy, ale dający wyniki ograniczone, jeżeli ilustracje mają posiadać cechy artyzmu. Na fotografikę artystyczną zwrócono uwagę od kilkudziesięciu lat i wydała ona takich mistrzów, jak J. Bułhak, W. Korsak, a ostatnio W. Puchalski. Ale najlepsza fotografia, ograniczona możliwością odtwarzania wyłącznie rzeczywistości, natury, nie może zastąpić rysunku, obrazu czy rzeźby, produktu natchnienia twórczego, wyrazu myśli, ujętej w formę plastyczną.

Dlatego też pismo ilustrowane, jeżeli ma aspiracje do artyzmu, nie może ograniczać się do zdjęć fotograficznych i musi swe łamy zdobić reprodukcją dzieł sztuki plastycznej.

Dla odtworzenia scen łowieckich z przeszłości miał „Łowiec Polski" duży materiał, dzięki twórczości wybitnych malarzy z okresu drugiej połowy wieku ubiegłego, jak: J. Brandt, A. Wierusz Kowalski, J. Chełmoński, J. Fałat, J. Kossak, M. Gierymski i inni. Ale łowiectwo współczesne, łowiectwo pierwszej połowy XX wieku, nie znalazło wśród braci malarskiej odtwórców tej samej miary.

Wpłynęło na to uprzemysłowienie kraju, oderwanie się większości młodzieży, poświęcającej się naukom plastycznym, od życia na wsi, zadomowienie się w miastach i utracenie kontaktu żywego z myślistwem.

Stwierdzenie tego stanu rzeczy ujawniła zorganizowana z inicjatywy Polskiego Związku Łowieckiego w 1937 r. wystawa obrazów i rzeźb w Warszawie pod hasłem „Łowiectwo w sztuce". O ile obrazy z drugiej połowy ubiegłego stulecia tętniły życiem, porywały widza sentymentem i rozmachem, zdradzały dokładną znajomość zwierzyny i psychiki myśliwego, czarowały wni-

kliwym wczuciem się w krajobraz łowiecki, to prace młodszego, współczesnego pokolenia malarzy (na ogół nieliczne), często nawet dobre w wykonaniu, poprawne w rysunku i pięknie odtwarzające krajobraz — zdradzały wyraźnie brak znajomości warunków bytowania i zachowania się zwierzyny oraz wyczucia czaru kniei i atmosfery łowieckiej.

Ten stan rzeczy nie uległ zmianie po ostatniej wojnie i po ponownym odrodzeniu Ojczyzny. Obecny nasz Komitet Redakcyjny napotyka te same trudności w ilustrowaniu pisma, jeżeli chodzi o dzieła sztuki. Zaangażowanie osobnego doradcy graficznego pomogło o tyle, że wypełnia on własnymi kompozycjami luki najbardziej pilne, ale nie udaje mu się przyciągnąć do współpracy trwałej sił wybitnych z pomiędzy młodszego pokolenia artystów-malarzy i grafików, pomimo względnie wysokich norm wynagrodzenia. Z rozmów, które przeprowadziłem z kilku autorami szkiców rysunkowych, wyraźnie przebija główna przyczyna uchylania się od pracy na tematy łowieckie. Jest nią świadomość niedostatecznego opanowania przedmiotu, wypływająca z odsunięcia faktycznego od środowiska myśliwskiego, od kniei i zwierzyny oraz nierozbudzenie jeszcze w autorach tych rysunków sentymentu do łowiectwa i wyczucia jego uroku.

Wyjście z tego marazmu widzę we wznowieniu akcji, zapoczątkowanej z końcem 1936 r. przez Polski Związek Łowiecki i przerwanej przez wybuch drugiej wojny światowej. Szła ona w trzech kierunkach: 1) zwrócenie się do rektorów Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i Krakowie oraz do dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych im. Gersona w Warszawie z prośbą o zainteresowanie słuchaczów tych uczelni tematyką łowiecką, dla których prac łamy „Łowca Polskiego" stałyby otworem, 2) zobowiązanie kół łowieckich oraz myśliwych związkowców do zapraszania młodzieży szkół artystycznych na polowania, celem zapoznania jej z terenem myśliwskim, z rozmaitymi sposobami polowania oraz ze zwierzyną, 3) zorganizowanie w 1937 r. wspomnianej już wystawy pod hasłem „Łowiectwo w sztuce".

Podjęta akcja nie przebrzmiała bez echa. Rektorzy obu akademii, w osobach prof. Jastrzębowskiego i prof. Pautscha, ustosunkowali się przychylnie do naszych zabiegów i wyznaczyli osoby, uprawnione do współdziałania ze Związkiem; szereg myśliwych i kół łowieckich zaprosiło młodych malarzy na polowania; zaś na zorganizowanej w r. 1938 w Poznaniu Wystawie Grafiki Myśliwskiej, obok nagród pieniężnych, przyznano kilku wyróżnionym wystawcom prawo spędzenia pewnego czasu na znanych terenach łowieckich dla przeprowadzenia studiów z natury.

Tak dobrze zapowiadająca się akcja została w 1939 r. przerwana.

Otóż wydaje się, że obecnie należy ją nie tylko wznowić, ale i rozszerzyć. Ilość uczelni kształcących młodzież w kierunku artystycznym wzrosła dzisiaj. Organizacja Polskiego Związku Łowieckiego objęła cały obszar kraju i będzie wzmocniona z chwilą wprowadzenia w życie nowej ustawy łowieckiej i nowego statutu. Koła łowieckie, już dziś szeroko rozgałęzione, staną się organami ściśle zespolonymi z PZŁ, a więc gotowymi do poparcia zainicjonowanej przez władze PZŁ akcji. W tych warunkach wszczęcie zabiegów o stworzenie nowych kadr malarzy i grafików na tematy łowieckie, rodzime i współczesne, wydaje się ze wszech miar wskazane, zaś inicjatywę w tym kierunku powinien podjąć z urzędu Komitet Redakcyjny naszego pisma.

Czarny bocian na moczarze — Rys. W. Korsak

STANISŁAW ZDZITOWIECKI

SZCZENIĘCE

Wędrujemy we trzech szeroką, gęstą miedzą porośniętą murawą. Idzie z nami młodość i uciecha. Najstarszy z trójki, ja, mam lat coś z piętnaście. Dwaj moi towarzysze, brat mój Jerzy i jego szkolny kolega Stefan H., są ode mnie o dwa lata młodsi. Idziemy na polowanie. Idziemy po raz pierwszy sami, bez opieki starszych, na to pierwsze nasze pole łowieckie.

Udało nam się uprosić Asa, żeby zechciał nam towarzyszyć. As, stateczny, tęgi kasztanowato biały niemiecki wyżeł, przepada za polowaniem. Ale nie lubi fatygować się dla byle kogo. Ubiegłego roku wyrządził niesłychany despekt starszemu od nas o parę lat kuzynkowi. Kuzynek, który, nawiasem mówiąc wyrósł na dzielnego myśliwego, chybił kilkakrotnie do wystawionych przez Asa kuropatew. As, stwierdziwszy chroniczne pudła, zabrał się z powrotem do domu, nieczuły na prośby i groźby niefortunnego strzelca.

Dziś zdołaliśmy zjednać go sobie za cenę sutej łapówki. W tym celu zwędziłem ze śpiżarni spory kawał smakowitej kiełbasy, którą As łaskawie skonsumował. Ale pomimo to boimy się bardzo, że nie dotrzyma nam milczącej umowy. Normalnie, wybierając się na polowanie z prawdziwymi myśliwymi, rozpoczyna od radosnych harców przed domem, urozmaiconych wesołym poszczekiwaniem. Dziś kroczy powoli i godnie, ogląda się przy tym raz po raz w stronę domu. Czuje się, że nie ma do nas zaufania, że nas po prostu lekceważy.

Minęliśmy szczęśliwie podwórze i sad owocowy. Jeszcze jedna i druga tradycyjna psiego rodu ceremonia dokoła kołków płotu granicznego i oto jesteśmy w polu. As zdecydowanym krokiem idzie przy nodze, jako że na lewo mamy chmielnik, a na prawo dość wytarte ściernisko. Wiadomo, że nie ma czego szukać. W chmielniku o tej porze roku kur nie bywa, a tylko niedoświadczony szczeniak spodziewałby się ich w niedooranym żytnisku. Niechno się tylko teren zmieni, niech pod nogami rozciągnie się szmaragdowy dywan koniczyny czy saradeli, niech zaszeleści nać kartoflana, lub nieżżęty łubin, As przez nikogo nie dopingowany, puszcza w ruch nos i nogi.

Wiatr ma, co prawda, nienadzwyczajny. Zdarza mu się też czasem, że wjedzie nosem w sam środek rwącego się stada kuropatw. Kamienieje wtedy ze wzruszenia i zgrozy, ze wstydem i skruchą oglądając się na myśliwego.

Ale takie kompromitujące katastrofy trafiają się rzadko. Na ogół As sumiennie i precyzyjnie pełni swoje obowiązki. A kiedy stanie do twardo zapadłej kury, nie ma na świecie siły, która by go z miejsca poruszyła. Najponętniejszy w całej środkowej Europie zając może mu śmiało defilować tuż przed nosem As nawet łba w jego stronę nie obróci. Wygląda wtedy jak zaczarowany symbol skupienia i czujności.

Świat jest śliczny. Jest jeszcze bardzo rano, chłodno i świeżo. Obfita rosa zasnuwa pola i łąki srebrzystym nalotem. Cały świat lśni i błyszczy w słońcu. Kroki nasze znaczą ciemniejsze ślady na jasnej zieleni, a cienie naszych postaci otaczają jakieś jaśniejsze od tła aureole.

Na lewo zielona ściana chmielnika robi wrażenie fantastycznej dekoracji. Ciężko zwisają girlandy dojrzewającego chmielu, na misternie wijących się drucikach. Szerokie ciemne liście połyskują, skąpane w porannej wilgoci. Tu i ówdzie druty leżą już na ziemi. Pozwijane łodygi tworzą zielone, pierścieniowate pagórki, Zbiór chmielu rozpoczęty.

Na prawo, jak okiem sięgnąć, pola i łąki. Ostro rysuje się w oddali prostokąt wyniosłych drzew. A dalej, ku zachodowi, sinieje na horyzoncie długie pasmo wzgórz Kieleczczyzny, zwane tutaj górami chlewiskimi. Nieco z boku, więcej ku południowi, widoczny jak na dłoni Święty Krzyż. Przez dobre szkła można nawet dojrzeć zarysy murów klasztoru.

Ale młode nasze dusze nie są dziś dostępne czarowi letniego poranku. Idziemy na polowanie, myśliwskimi kłopoczemy się sprawami. Żeby nam As nie uciekł, żeby nie okryć się hańbą powrotu z pustymi rękami. „Na tym palcu upiekę wszystkie dzisiejsze wasze trofea“, tak nam na wychodnym powiedział ojciec, Niedoczekanie! Nie dopuścimy do spełnienia tej złowrogiej przepowiedni! Przysięgamy sobie —„na fuzyję“.

„Fuzyję“ mamy, niestety, tylko jedną. Jedną na trzech. Jest to maleńka kapiszonówka, o naboju nie wynoszącym nawet połowy naboju ojcowskiej szesnastki. Mamy ją od niedawna, zaznały jej grozy okoliczne wrony i sroki. Raz nawet omal nie padł jej ofiarą jastrząb zbyt zuchwale sobie poczynający w stosunku do igrających pod samym domem kurcząt. Skończyło się na sporym hałasie i pospiesznej rejteradzie wystraszonego rabusia.

Dziś przyszła kolej na kuropatwy. Starannie nabitą i opatrzoną fuzyjkę trzymam mocno w garści, mnie bowiem, jako najstarszemu, przypadł zaszczyt pierwszego strzału. Poza wszelkimi zasadniczymi emocjami trapi mnie myśl, że w decydującym momencie z „brandki“ spadnie zbyt szeroki kapiszon, jak to już nieraz zwykł był, zdrajca, robić. Ale na razie kurek mam opuszczony i przyrzekam sobie pamiętać o kapiszonie.

Stefan wciąż o czymś gada. Urodził się i wychował w mieście. Sympatiami jednak i upodobaniami związany jest ze wsią. Wybiera się nawet na rolnictwo. Tymczasem ciekawie wtyka nos we wszystkie wiejskie sprawy i wie o nich więcej od nas, urodzonych wieśniaków. Uważa, że nawet na polowaniu rozumie się lepiej od nas. Toteż w pewnej chwili, widząc puste już gdzieniegdzie druciane belkowania chmielnika, proponuje aby wejść do środka, poszukać słonek, które corocznie jesienią znajdujemy zabite przez uderzenie o druty. Oponujemy, twierdząc, że na jesienny przelot słonek jeszcze za wcześnie, i że chodząc po chmielniku, zamoczymy się od stóp do głów. Ale, jak zawsze, Stefan ma rację. Jakby z nim zmówiony, As pociąga nosem, przełazi zwolna przez dzielący nas od chmielnika rów i tuż za rowem zatrzymuje się nad leżącą na ziemi nieżywą słonką. Słonka jest zupełnie świeża, zabiła się widocznie

Żabka drzewna — Fot. L. Porębski

LATA

ostatniej nocy. Pakujemy ją czymprędzej do torby, rozglądając się czy kto nie widzi i obiecując sobie wygarnąć do niej z odpowiedniej odległości, odszedłszy dalej od domu, aby niewierni Tomasze mieli oczywisty dowód, że padła od strzału.

Z traktu na lewo sucha łąka i niezagrabione jeszcze pszeniczysko. As rusza ze startu. Lekkim galopem okłada szerokie składy pszeniczyska. Chwilami zwalnia, przechodzi w kłus, to znów przystaje, badając dokładnie teren. Rozumiemy go doskonale. W miejscach najbardziej podejrzanych krótki ogon Asa, zazwyczaj sztywno wyprostowany i nieruchomy, nabiera życia i wyrazu. Porusza się ruchem szybkim i nerwowym. Powrót do normalnego położenia zwiastuje fałszywy alarm. Tym razem jednak ogon wiruje coraz gwałtowniej, ruchy Asa stają się powolne i ostrożne, przechodzące w skradanie się. Wreszcie As staje nad szeroką bruzdą, oddzielającą pszeniczysko od łąki. Stoi jak mur, zastygły w bezruchu, lewym okiem zezuje ku nam, wyraźnie nas przywołując. Podchodzimy pospiesznie. Strzelbę mam w ręku, a duszę na ramieniu. Pomimo przynagleń As nie chce ruszyć z miejsca. Na koniec, popchnięty, rzuca się gwałtownie naprzód, a sprzed jego nosa z wrzaskiem i furkotem rwie się niemal czarna od rosy stara kuropatwa. Naciśnięta z bliska, idzie pionowo w górę, widzę dokładnie ciemną podkowę na jej piersi. Stary kogut. Naokoło furkoczą zrywające się młódki. Serce zamiera mi z wrażenia, obaj moi towarzysze drą się w niebogłosy „Strzelaj! Strzelaj!"

W popłochu podnoszę strzelbę do ramienia i myślę z rozpaczą, że przecież nie ma mowy o tym, abym tego koguta trafił. Ale strzelać muszę, bo inaczej stracę kolejkę taka była umowa. Pociągam tedy na oślep za cyngiel, robi się wielki huk i ku największemu memu zdumieniu przez dym widzę spadającego kamieniem ptaka. Pechowy kogut. Dostał całym nabojem z odległości najwyżej piętnastu kroków.

Jestem oszołomiony i szczęśliwy. Odbieram gratulacje moich kompanów. As majestatycznie aportuje kuropatwę. Minę ma, jakby chciał się przyłączyć do składanych mi powinszowań.

Nie przyznaję się, oczywiście, do przeżytego strachu i małoduszności. Staram się rzecz całą potraktować w sposób jak najbardziej naturalny: że niby niczego innego się nie spodziewałem. Ale w gruncie rzeczy czuję się, jak Zagłoba po zdobyciu chorągwi kozackiej pod Konstantynowem. I, wierzcie mi: wiele w życiu moim kur ustrzeliłem, ale żadna nie przyszła mi z taką fatygą, jak właśnie ta, zdobyta czternastego sierpnia Roku Pańskiego 1908.

TADEUSZ OBUTELEWICZ

Łuski wystrzelone

Po minionym jesienno - zimowym sezonie łowieckim pozostało nam w zapasie sporo łusek wystrzelonych. Może nie wszyscy zdajemy sobie sprawę, że w łuskach tych uwięziony jest spory kapitał którego niewykorzystanie byłoby marnotrawstwem..

Nie zrobimy omyłki, jeżeli weźmiemy za podstawę obliczenia, że rocznie wszyscy nasi myśliwi wystrzelą sześć milionów gotowych, nowych nabojów.

Przypuśćmy, że 10% łusek wystrzelonych uszkodzi się, drugie 10% zaginie, a 5% zepsuje się przy powtórnej elaboracji t. jest, łącznie odpadnie 25% łusek, to jeszcze pozostanie zdatnych do dalszego użytku cztery i pół miliona łusek, w których można wykonać naboje mało różniące się od nowych tymbardziej, że krajowe łuski koloru szarego są bardzo wytrzymałe i nadają się do parokrotnego użycia.

Koszt nowej, normalnej łuski długości 65 mm. w spółdzielni „Jedność Łowiecka" wynosi 26 zł. za sztukę, a za łuskę „long" długości 7 mm. trzeba zapłacić 28 zł.

Przyjmijmy dla łusek raz wystrzelonych cenę bardzo niską, bo tylko 10 zł., otrzymamy, że wartość rocznie wystrzelonych nadających się do elaboracji, łusek wyniesie czterdzieści pięć milionów złotych.

Prosty ten rachunek wykazał, jak duża jest wartość łusek raz wystrzelonych, znajdujących się u myśliwych i jak wielka byłaby strata, gdyby łuski te nie zostały wykorzystane.

Zastanówmy się w jaki sposób możnaby najlepiej łuski te zużytkować.

Do kwietnia 1949 roku sprawa była prosta. Wytwórnia Amunicji Myśliwskiej przyjmowała łuski wystrzelone do ponownego nabicia.

Nabój wykonany w takich łuskach wyglądem mało różni się od nowego, a pod względem balistycznym niczym mu nie ustępował.

Rekonstrukcja kosztowała 35 złotych za jeden nabój plus minimalne koszty przesyłki pocztowej do Pionek o powrotnej.

Nie będziemy dociekać, jakie powody skłoniły do zaniechania elaboracji nabojów w łuskach wystrzelonych, interesuje nas tylko pytanie, czy nie możnaby wznowić jej, np. przy Oddziałach Spółdzielni „Jedność Łowiecka".

Pewne ilości łusek wystrzelonych mogą zelaborować sami myśliwi, we własnym zakresie, gdyby nie stał na przeszkodzie brak w sprzedaży spłonek typu „Gevelot". Wszystkie elementy nabojów można nabyć za wyjątkiem tych spłonek.

Sprawa dostarczenia spłonek typu „Gevelot" na rynek jest bardzo aktualna i pilna. Istotnymi warunkami jakimi winny odpowiadać spłonki myśliwskie typu „Gevelot" obojętne rdzewne, czy nierdzewne, jest pewność i równomierność zapłonu.

Rozpatrzmy tu jeszcze pytanie, czy elaboracja nabojów w łuskach wystrzelonych wpłynie ujemnie na sprzedaż nabojów nowych.

W Polskim Związku Łowieckim jest zrzeszonych przeszło trzydzieści pięć tysięcy myśliwych. Przypuśćmy, że tylko trzydzieści tysięcy myśliwych jest czynnych. Przeciętne roczne zużycie amunicji na każdego czynnego członka będzie nie mniejsze od 350 nabojów, a że zwierzostan poprawia się z roku na rok, liczba ta będzie stale wzrastała.

Przyjmując za podstawę rocznego zużycia 350 nabojów na każdego członka Polskiego Związku Łowieckiego, otrzymamy, że roczne zapotrzebowanie amunicji śrutowej wyniesie dziesięć i pół miliona nabojów. Niech z tej liczby cztery i pół miliona nabojów wykonane zostanie w łuskach wystrzelonych, to potrzeba jeszcze rocznie sześć milionów nabojów nowych.

Jeżeli jest już mowa o ilościowym zużyciu amunicji śrutowej, nie od rzeczy będzie zastanowienie się nad cenami gotowych, nowych nabojów i ich elementów składowych Ceny te są bardzo wysokie i dlatego myśliwi ograniczają strzelanie, aby nie przekroczyć swojego budżetu myśliwskiego.

Wielce pożądane byłoby zbadanie dotychczasowych kalkulacji produkcyjnych, oraz sprzedażnych i w miarę możności obniżenie cen na te artykuły.

Poruszyć tu wypada jeszcze, ze względu na interes myśliwych, zamieszkujących zdala od miast, w których znajdują się Oddziały Spółdzielni „Jedność Łowiecka", sprawę sposobu rozprowadzania amunicji śrutowej. Oddziały spółdzielni są nieliczne, wskutek czego sieć sprzedaży jest rzadka. Wiele poważnych ośrodków myśliwskich jest oddalonych o przeszło 100 kilometrów od miejsca sprzedaży amunicji. Wyjazdy po zakup kilkudziesięciu nabojów, czy innych elementów nabojowych, podrażają i tak już drogą amunicję, a poza tym nie każdy może sobie pozwolić na opuszczenie pracy dla błahego powodu, jakim jest zaopatrywanie się w przybory myśliwskie.

Konieczne jest znalezienie wyjścia z tej niedogodnej sytuacji. Czy nie byłoby możliwe załatwienie zamówień drogą pocztową? Choć dla spółdzielni powstałby kłopot z wysyłaniem przesyłek, ale dla myśliwych byłoby to ogromnym udogodnieniem, a przy tym na pewno wzrosłaby ilość rozprowadzanej amunicji.

Poruszone tu sprawy są dla nas myśliwych ważne i pilne. Mamy nadzieję, że zostaną rozpatrzone i pozytywnie załatwione przed nadejściem następnego sezonu myśliwskiego.

INŻ. R. PLENKIEWICZ

Niedźwiedź z barłogu

Roku Pańskiego 1908 na parę dni przed Bożym Narodzeniem pociągiem Samaro — Złotoustowskiej kolei przyjechaliśmy na stację „Mijas", położoną w lasach Zachodniego Uralu. Na dworcu spotkał nas miejscowy Baszkir, zawzięty myśliwy i barłożnik, Murat, który wyjechał po nas niskimi, rozłożystymi sankami, zaprzężonymi w jednego krępego konika. Było nas oprócz Murata czterech młodycn i gorących myśliwych, od dawna marzących o wyprawie na niedźwiedzia.

Murat pochwalił się, że ma niedaleko dużego misia, samca z piękną skórą, ale barłóg ten będzie kosztował 15 rubli i butelkę smirnówki (mocna, żytnia wódka, wyrabiana w gorzelni Smirnowa na Syberii). O targowaniu się nikt z nas nie pomyślał, gotówkę w kwocie 15 rubli jeden z kolegów wręczył Muratowi natychmiast, a z butelki wódki musieliśmy najpierw starannie zeskrobać zieloną etykietę z napisem „Chlebnoje wino". Dopiero wtedy Murat przyjął i wsunął ją do kieszeni, gdyż w ten sposób muzułmanie obchodzą zakaz Mahometa picia wina.

Na saniach jechaliśmy dość szybko: śnieg był suchy, nie głęboki, droga doskonale ujeżdżona i mały, lecz mocny baszkirski konik, często popędzany gwizdkiem Murata, ciągle biegł galopem. Pogoda sprzyjała: olbrzymi spirytusowy Celsjusz na ścianie dworca kolejowego pokazywał 13 poniżej zera, wiatru żadnego, niebo bez chmurki, i czysty śnieg, jaskrawo oświetlony słońcem.

Dom Murata stał na skraju lasu w małej baszkirskiej wiosce, położonej na obydwóch brzegach czystego jak łza strumyka.

Wysiedliśmy wszyscy z sań. Murat pobiegł do domu i szybko powrócił do nas ze swoją bronią, tzw. rohatyną i białym psem, podobnym do szpica. Z ciekawością obejrzeliśmy rohatynę — była to zwykła włócznia długości około 2 m z lekkiego, mocnego, ale giętkiego drewna, na której cieńszym końcu był przywiązany drutem dwustronnie ostry, długi na 25 cm. sztylet (kindżał). Tymczasem Murat obejrzał naszą broń, przykładając ją z prawej to z lewej strony twarzy, po czym z miną jawnie sceptyczną, orzekł, iż jeżeli miś ośmieli się napaść na niego, to na pewno padnie trupem, bo jego „sztucer" zawsze celnie strzela i niewypałów nigdy nie daje.

Murat z psem Arytem i rohatyną na ramieniu ruszył prawym brzegiem strumyka do lasu, prowadząc za sobą gęsiego czterech nas myśliwych z bronią na ramieniu. Droga była dość ciężka, ciągle pod górę, nie udeptana, co chwilę trzeba było przechodzić z wielkim wysiłkiem kłody leśnych kolosów, leżących w poprzek strumyka i naszej drogi.

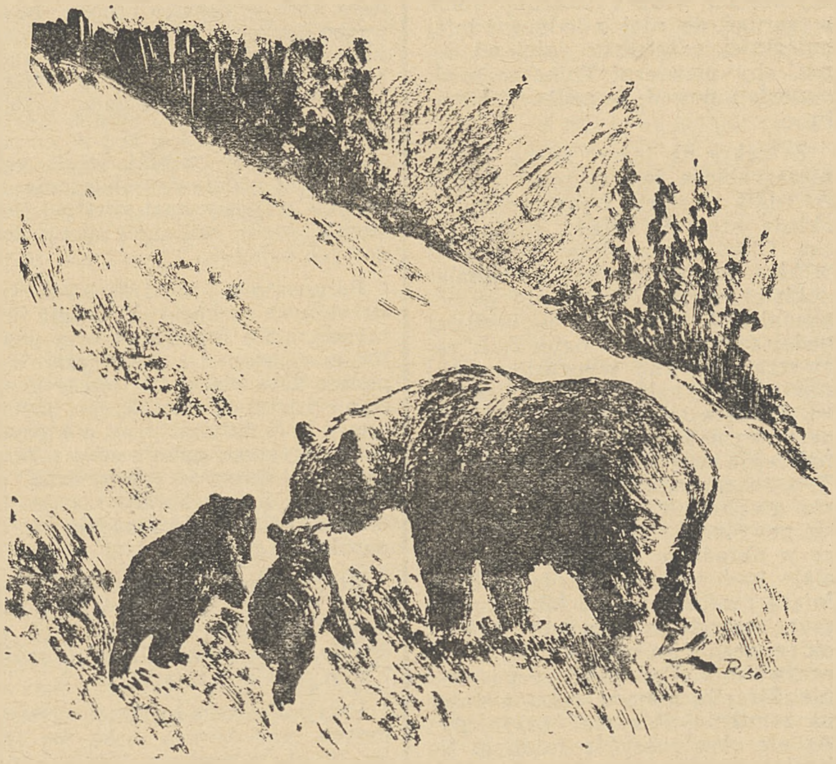

Rys. S. Rozwadowski *Niedźwiedzica tatrzańska*

Po godzinie tak ciężkiego marszu Murat zatrzymał nas dla wypoczynku, zapalił fajeczkę i oznajmił, że za 15 minut będziemy już przy barłogu. Jakiś nerwowy dreszcz poczułem w całym ciele, spojrzałem na twarze kolegów, na Murata, na swoją broń, którą pożyczono mi na to polowanie; był to skrócony, stary, wojenny karabin systemu Berdana, bardzo ciężki, niezgrabny, z trudnym spustem, ale podobno bijący mocno i celnie.

Zbliżając się do barłogu, Murat pokazał nam niewielkie dokładnie wykonane ręczne sanki, przykryte suchymi gałęziami i oznajmił, iż oczekują one na niedźwiedzia, który po śniegu nie lubi chodzić. Ten żart Baszkira wszystkich nas rozśmieszył; któryś z kolegów wesoło wtrącił, że pewnie tu gdzieś stoi i bryczka misia. Wszystkich nas trochę niepokoiła obfita okiść na krzakach i gałęziach, która jak suchy, biały piasek spadała na ziemię przy każdym dotknięciu krzaka czy gałązki. Murat jednak pocieszał nas, że to dla naszego polowania bardzo dobrze: misza nie będzie widzieć myśliwego, co da możność strzelania doń z bliska. Po kilku minutach Murat znów nas zatrzymał, pokazując rohatyną przed siebie. „Widzicie tam przy tej dużej leżącej lipie stoi wysoki kopiec śniegu — to jest barłóg, gdzie śpi nasz misza, zaraz będziemy go budzić, żeby wyszedł na spotkanie gości" Baszkir wypowiedział te słowa tak spokojnie, jak gdyby chodziło o zająca. Spojrzałem na twarze kolegów, widać było na nich jakieś zaniepokojenie, raczej nerwowe podniecenie, mnie zaś zrobiło się gorąco, choć byłem ubrany wcale nie za ciepło. Murat tymczasem uspokoił Aryta i zaczął nas ostrożnie rozstawiać na stanowiska, tworząc z nas koło barłogu półkole o promieniu kilkunastu metrów, tak aby miś nie od razu nas zauważył, i żebyśmy nie strzelali go w barłogu na co nie pozwala etyka myśliwska, której wszyscy barłożnicy i myśliwi na Uralu starannie przestrzegają.

Moje stanowisko wypadło pod olbrzymią lipą o średnicy pnia nie mniej 1,5 m. Dokładnie zbadawszy najbliższą koło mnie miejscowość, zauważyłem miejsca stanowisk kolegów, oparłem się o lipę. trzymając w ręku ciężki, choć krótki karabin, nabity dużą, ołowianą kulą.

W momencie, kiedy Murat już podchodził do barłogu z rohatyną w jednej ręce i zaciosanym cienkim kołkiem w drugiej — moje nerwy osiągnęły kulminacyjny punkt naprężenia nie tyle z powodu strachu (tchórzem nigdy nie byłem), lecz z powodu braku pewności i zaufania do cudzego karabinu. — Co będzie to będzie, pomyślałem sobie, podpuszczę go bliżej i wypalę w łeb, gdyż jest to najpewniejszy sposób na każdego zwierza, kładący go trupem na miejscu.

Trochę się uspokoiłem, napięcie nerwów spadło: sprawdziłem jeszcze raz broń, gdy nagle rozległ się gwizdek Murata, stojącego z psem i rohatyną tuż u samego barłogu. Po kilku próbnych przykładaniacb karabinu do ramienia, zamarłem na stanowisku z bronią, gotową do

strzału. Nasz Baszkir zaczął trącać kołkiem barłóg, a wyszkolony Aryt zaciekle ujadać, rozgrzebując śnieg u dołu barłogu.

Nagle spod śniegu z rykiem wyskoczył duży czarno - bury niedźwiedź, który z początku, jakby mając zamiar na kogoś napadać, stanął na tylnych nogach, lecz będąc ciągle zajadle szarpanym za „spodnie" przez Aryta, zaczął kłusem biec w moją stronę. Na kilkanaście kroków przede mną zwierz, jakby chcąc mnie ominąć z prawej strony, zmienił kierunek i zaczął już wychodzić z półkola, na którego prawym skrzydle stałem ja.

— Drapnie, pomyślałem i wiodąc muszkę karabinu przed nosem niedźwiedzia, mocno pociągnąłem za spust. Silny huk rozległ się po lesie, a ja otrzymałem bolesne kopnięcie w ramię i szczękę. Niedźwiedź, jakby raptownie przywarował, chowając mordę w śnieg; na pewno wziąłbym go za przyczajonego i wsadziłbym w niego drugą kulę, gdyby nie Aryt, który już siedział na leżącym niedźwiedziu i złośliwie szarpał go za długie kudły. Z gotową bronią, ostrożnie, zbliżyłem się do leżącego spokojnie zwierza; podbiegł również i Murat, a zbadawszy najpierw głowę misia poklepał mnie po ramieniu i rzekł łamanym rosyjskim językiem: „Oczenno choroszo popał".

Kiedy osobiście zbadałem łeb niedźwiedzia, to okazało się, iż kula przeszyła mu głowę prawie przez uszy, lewe oko było wysadzone, a cała czaszka przy poruszaniu głowy trzeszczała, jakby popękana. Jeden z kolegów zapewniał nas, iż właściciel karabinu — stary wojskowy rusznikarz i myśliwy — często używał kul dum - dum, powodujących niesłychane porażenia. Kopnięcie przy wystrzale dostałem tak silne, że w ramieniu czułem ból, a z ust pokazała się zakrwawiona ślina. W tym czasie, kiedy Murat pobiegł po sanki, zbadaliśmy barłóg, z którego jeszcze wychodziła nieprzyjemnie cuchnąca para. Ta niedźwiedzia chata była prymitywnie zbudowana pod korzeniami dużego wykrotu z dość grubych, suchych gałęzi i kołków, bezładnie złożonych na sterczących korzeniach; w tym nakryciu czworonogi budowniczy pozostawił mały otwór dla wentylacji, a na podściółkę użył suchych liści, mchu i łyka.

Z wielkim wysiłkiem położyliśmy misia na sanki i wprzęgając się po dwóch na zmianę — pociągnęliśmy ciężkiego zwierza na dół ku domowi Murata. Tam, przełożywszy niedźwiedzia na większe sanki, wypiliśmy z Muratem po „niedźwiedziej" stopce na pożegnanie i wesoło ruszyliśmy na stację, dzieląc się tylko co przeżytymi wrażeniami. Na wadze kolejowej niedźwiedź wyciągnął 17 pudów i 15 funtów, co równa się 286 kg (1 pud — 16,4 kg). Żegnając się z Muratem, wsunąłem mu do kieszeni pół butelki smirnówki bez etykietki, a więc „bez grzechu", a z kolegami postanowiliśmy powtórzyć raz jeszcze wyprawę na niedźwiedzia.

HENRYK ZAPOLSKI

Dziwne, lecz prawdziwe

Przed kilku miesiącami wielu kolegów myśliwych oglądało w Warszawie, w lokalu Polskiego Związku Łowieckiego, krótko - metrażowy film radziecki z życia dzikich zwierząt i polowania na nie. Niektóre zdjęcia wydawały się wprost nieprawdopodobne, np. krępowanie gołymi rękami dzikiego zwierza, wprawdzie złapanego za przednią łapę w żelazo, lecz poza tym wolnego zwierza z gatunku kotów, większego od naszego rysia. Co dziwniejsze, że zwierzę, wsadzone do worka, przytroczonego do siodła nie usiłowało nawet gryźć jeźdźca lub konia, choć mogło to z łatwością czynić. Nie umiano sobie tego wyjaśnić.

Wyjaśnienie znalazło się w książce pt. „ Moskowskij Zoopark", wyd. 1949 r., opisującej nie tylko moskiewski ogród zoologiczny, jego mieszkańców, hodowlę zwierząt, naukowe prace, lecz nadto sposoby chwytania dzikich zwierząt i dostawy do zwierzyńców, co może najbardziej zainteresować myśliwych.

Wśród wielu opisów łapania płazów, gadów, ptaków, ssaków czytamy (na str. 451 — 453):

„Można z pewnością twierdzić, że ogromna większość ludzi ma o łapaniu zwierząt niejasne a często mylne wyobrażenie. Na przykład, czy ktoś uwierzy, że tygrysy ussuryjskie, ważące od 5 do 7 pudów (przyp. tłum. od 80 do 112 kg.) są łapane nie przy pomocy pułapek, lecz gołymi rękami? Trudno w to uwierzyć, lecz jest to nie bajka, nie wymysł, a niesporny fakt ogłoszony w prasie.

Jestem w Ussuryjskim Kraju. Powoli w górę rzeki sunie nasza łódź. Używając całych swych sił, aż trzeszczą kości, pchamy drągami łódź w górę rzeki Imana. Mój towarzysz, szerokie w barach chłopisko, z jakąś niezwykłą prostotą opowiada o łapaniu tygrysów przez myśliwych osady Kartuń. Nieraz uczestniczył w tym polowaniu i według jego słów jest ono bardzo proste.

W końcu jesieni, gdy spadnie śnieg, coraz częściej wychodzą w tajgę łowcy zwierząt na poszukiwanie śladu tygrysa. Nie każdy jednak ślad tego zwierza ich interesuje. Znaleźć tygrysią rodzinę — oto ich zadanie.

W ciągu trzech lat po urodzeniu się tygrysięta, często dochodzące do 7 pudów wagi, pozostają przy matce. Ślad młodego tygrysa, jeszcze nie opuszczającego rodziny, można odróżnić od śladu dorosłego zwierza. Lecz oto ślady rodziny tygrysów zostały odnalezione i łowcy zwierząt rozpoczynają swe zawodowe czynności. Przede wszystkim należy rozproszyć rodzinę i odpędzić tygrysicę możliwie najdalej od potomstwa. Tajga napełnia się szczekaniem psów, których trzymają na smyczy, krzykiem ludzi i seriami strzałów. Tygrysica stara się uprowadzić tygrysięta z niebezpiecznego miejsca, lecz tygrysięta nie mogą nadążyć, kryją się w zaroślach i matka porzuca swe potomstwo. Od tej chwili zaczyna się właściwe polowanie. Psy puszczone na ślad młodego zwierza, rzucają się ze szczekaniem i jazgotem. Tygrysiątko ucieka w różnych kierunkach, szukając ukrycia. Z początku szczekanie psów dolatuje z różnych stron, lecz w końcu słychać je z jednego miejsca. Tam podążają łowcy.

Nie pokładając nadziei w szybkość swych nóg, tygrys stara się wleźć w gąszcz krzaków lub pod zwalone burzą drzewo i tam przygotować się do obrony. Psy to całą sforą rzucają się na tygrysa, to ze skowytem pierzchają w boki. Rozdrażniony tygrys od obrony przechodzi do napadu — rzuca się na najbliższego przeciwnika i usiłuje uderzyć łapą psa. Lecz już i myśliwi nadciągnęli. Jeden z nich, najbardziej doświadczony, zaopatrzywszy się w ciężką i mocną pałkę, śmiało idzie do zarośli, które oszczekują psy i skąd słychać złe ryczenie zwierza. Pozostali łowcy, porzuciwszy strzelby, idą w oddaleniu za pierwszym. Tygrys nie każe na siebie zbyt długo czekać i rzuca się na swego najgorszego wroga — człowieka, chwyta go w łapy i wali na ziemię. Tym zazwyczaj kończy się aktywne działanie zwierza. Jest on wystraszony, zatraca się, oczy mu błądzą i nigdy nie używa ani swych pazurów, ani zębów. Korzystając z tego wszyscy myśliwi rzucają się na tygrysa, grubą pałką przyciskają mu szyję do ziemi i związują łapy. Tygrys złapany i obezwładniony. Myśliwi przywiązują go do sporządzonych na prędce sań i przewożą do osiedla. Przewóz tygrysa z tajgi do bazy w stanie związanym trwa niekiedy do czterech, pięciu dni. W tym czasie tygrysa nie karmią. Opisanego sposobu łapania nie da się zastosować i byłby niebezpieczny w stosunku do zwierząt powyżej trzech lat wieku.

W przeciwieństwie do tygrysów ussuryjskich duże drapieżniki górskie — śnieżne lamparty, inaczej irbisy są tchórzliwe. W górach Kirgizji, gdzie te zwierzęta nie są rzadkością, niekiedy myśliwi znajdują ich legowiska i zabierają małe, lecz o wiele częściej chwytają dorosłe zwierzęta w duże żelaza stawiane na tropach. Złapany w żelazo irbis włazi między kamienie, gdzie bierze się go bez większych trudności. Irbis kładzie po sobie swe krótkie uszy, groźnie syczy, lecz w zasadzie tym się ogranicza jego sprzeciw. Narzuciwszy chałat na głowę irbisa myśliwy-Kirgiz związuje zwierzęciu łapy, naciąga na niego duży worek tak, że głowa pozostaje na zewnątrz i w tym stanie, przerzuciwszy przez siodło, wiezie do swego wozu

A. S.

Próby polowe wyżłów w woj. warszawskim

W dniu 30 kwietnia rb. odbyły się staraniem Polskiego Związku Łowieckiego i Związku Kynologicznego w Polsce pierwsze po wojnie próby polowe wyżłów, urządzone na terenie województwa warszawskiego.

Przy wyjątkowo pięknej pogodzie, będącej znacznym ułatwieniem pracy psa myśliwskiego, rozpoczęto punktualnie o wyznaczonej godzinie próby zgłoszonych do konkursu zawodników, liczba których ograniczyła się do skromnej cyfry 9, pomimo że próby obejmowały zarówno konkurencje ras angielskich, jak i ras kontynentalnych.

Ze zgłoszonych 9 psów zapisano:
cztery do klasy otwartej dla wyżłów angielskich,
trzy do klasy młodzieży rasy angielskiej,
dwa do klasy młodzieży rasy kontynentalnej.

W wyniku kilkakrotnych prób prowadzonych z każdym z zawodników, komisje sędziowskie w składzie: kol. A. Śliwińskiego jako przewodniczącego, K. Tarnowskiego, Nowaka i Zakrzewskiego dla psów ras angielskich, oraz kol. majora Pawłusiewicza jako przewodniczącego i K. Tarnowskiego dla psów ras kontynentalnych, przeprowadziły następującą klasyfikację.

A. W klasie otwartej dla psów ras angielskich pierwszą nagrodę, ofiarowaną przez PZŁ (torba myśliwska z plakietą), przyznano czarnej pointerce „Flapper", importowanej ze Szwecji, wł. kol. Langego. Suka ta, będącą całkowicie w ręku prowadzącego ją menera (właściciela), wykazała bardzo szybkie i szerokie chody, prawidłowe okładanie pola, bardzo dobry wiatr, zupełną obojętność na pomykające zające i absolutny spokój przy strzale.

Drugą nagrodę, ofiarowaną przez Powiatową Radę Łowiecką w Grodzisku (pas myśliwski), przyznano czarnemu pointerowi „Boy" hodowli krajowej po psach importowanych ze Szwecji, wł. kol. Dutkiewicza. Jakkolwiek pies ten nie wykazał takich chodów i tak prawidłowego opracowania pola, jak jego poprzedniczka, z powodu zbyt daleko idącej ostrożności, to jednak jako pies w pierwszym polu, będący całkowicie w rękach menera (Łukowicza) wyróżnił się wspaniałym wiatrem i pięknymi stójkami, która to okoliczność pozwoli mu niewątpliwie w przyszłości ubiegać się o pierwsze miejsce.

Dwie pozostałe zgłoszone do tej konkurencji suki, mianowicie importowana ze Szwecji biało - czarna pointerka „Tressa" wł. kol. Wilczewskiego, jak i importowana z Anglii irlandzka suka „Biddy" wł. Hodowli Związku Kynologicznego w Polsce, wykazały wyjątkowo piękną pracę w polu i zupełne opanowanie wobec pomykającej czy podrywającej się zwierzyny. Pod wpływem wiatru nie były jednak w formie i nie zostały odznaczone z powodu kilkakrotnego wpadnięcia na kury.

B. W klasie młodzieży dla psów ras angielskich pierwszą nagrodę, ofiarowaną przez Oddziałową Radę Kynologiczną w Warszawie (brąz ze słonką) otrzymała importowana z Anglii biało - brązowa suka „Terry" własność Związku Kynologicznego w Polsce. Suka ta obdarzona dużym wiatrem, dobrymi chodami i absolutnym posłuszeństwem rokuje jak najlepsze nadzieje na przyszłość.

Drugą nagrodę w tej klasie otrzymał pies „Boy" wł. kol. Dutkiewicza, który uległ zwycięzczyni jedynie przez zbyt daleko posuniętą ostrożność i znaczenie wskutek tego powolniejszą pracę. Zapisana jako trzecia do tej kategorii suka „Bella" wł. kol. Klawego, jakkolwiek posiada bardzo duże zalety na dobrego psa myśliwskiego, odznaczona nie została, gdyż pogoniła zająca i na dłuższy czas wyszła z pod ręki menera.

C. W klasie młodzieży dla psów rasy kontynentalnej zgłoszono dwie sztuki ostrowłose: „Dianę" wł. kol. Kaźmierczaka i „Lory" wł. kol. Mirowskiego, które wykazały wielką pasję myśliwską, dobrą pracę w zimnej lodowatej prawie wodzie wymaganą w tej konkurencji ciętość wobec drapieżnika (kota umieszczonego w klatce)

Pierwszą nagrodę, ofiarowaną przez Wojewódzkę Radę Łowiecką (futerał na broń z plakietą), przyznano suce „Diana" za prawidłowe okładanie pola i lepszą tresurę.

Drugą nagrodę, ofiarowaną przez Kółko Myśliwskie "Jeleń" (obroża ze smyczą), otrzymała suka „Lory".

Niezależnie od powyższych nagród dla właścicieli psów Kolegium Sędziowskie przyznało zawodowym treserom nagrody pieniężne a mianowicie:

Ob. Masnemu zł 4.000,
Ob. Łukowiczowi zł 3.000
Ob. Wysoczańskiemu zł 3.000,

za ich wydatną pracę włożoną w układanie i prowadzenie psa myśliwskiego.

Organizacja zawodów przeprowadzona była sprawnie, na teren do prób wybrano pole przyległe do Mrokowa, gdzie mieści się stacja hodowlana Związku Kynologicznego w Polsce. Jakkolwiek liczba psów zapisanych do prób była nie wielka, to jednakże z przyjemnością podkreślić należy, iż próby te w klasie psów angielskich stały na znacznie wyższym poziomie, aniżeli próby przeprowadzone w ubiegłych latach pod Wrocławiem i w Różniatach, na których to próbach psy, nie goniące zwierzyny i należycie opanowane przez ich menerów, należały do nielicznych wyjątków. To co widzieliśmy w Mrokowie nie stało wprawdzie na wyżynie konkursów przedwojennych, było jednak wybitnym przeciwieństwem poprzednich naszych usiłowań i dlatego też ten stan rzeczy napawa nas nadzieją na dużo jeszcze lepsze wyniki w przyszłości.

Po rozdaniu nagród przy licznie zebranej publiczności, wśród której widzieliśmy przedstawicieli władz, wojska i PZŁ, odbyła się uroczystość otwarcia i zwiedzania ośrodka hodowlanego w Mrokowie, utrzymywanego i założonego przez Związek Kynologiczny w Polsce.

Uroczystość tę otworzył Kol. Kryspin, jako przewodniczący Komitetu Wykonawczego Związku Kynologicznego w Polsce, który w krótkim przemówieniu podniósł znaczenie psa w naszej dzisiejszej gospodarce narodowej i konieczność jego hodowli, dostosowanej do różnych dziedzin jego użytkowania. Okolicznościowe przemówienie wygłosił również Łowczy Powiatowy Grodziska Mazowieckiego jako przedstawiciel PZŁ i kol. Brudnicki jako szef sekcji hodowlanej.

Po tradycyjnej lampce wina i przygotowanym dla wszystkich obecnych skromnym posiłku, licznie zebrana publiczność opuściła Mroków pod bardzo dobrymi wrażeniami i w miłym nastroju.

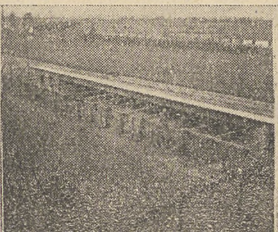

Doroczne Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego w r. 1950

W dniu 23.IV br. odbyło się w Warszawie w siedzibie Polskiego Związku Łowieckiego doroczne Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego przy udziale 62 delegatów ze wszystkich województw oraz członków władz Związku.

Obrady otworzył o godz. 10-ej Prezes Polskiego Związku Łowieckiego generał dywizji Prof. Dr Bolesław Szarecki, witając zebranych Kolegów z terenu.

Przed przystąpieniem do pierwszego punktu porządku obrad, Prezes gen. dywizji Szarecki zakomunikował, iż w dniu 22.IV.1950 r. delegacja Polskiego Związku Łowieckiego w osobach: gen. dyw. Bolesława Szareckiego, gen. bryg. Floriana Grabczyńskiego, płk. Apolinarego Mineckiego i kol. Zbigniewa Korolkiewicza przyjęta została przez Ministra Obrony Narodowej Marszałka Polski Konstantego Rokossowskiego. Delegacja złożyła na ręce Ob. Marszałka Polski prośbę o wyrażenie zgody przez Niego na przyjęcie Prezesury Honorowej Polskiego Związku Łowieckiego. Marszałek Polski przychylił się do prośby delegacji i wyraził swą zgodę na przyjęcie Prezesury Honorowej Polskiego Związku Łowieckiego.

Zebrani delegaci długo niemilknącymi oklaskami wyrazili swą głęboką radość i wdzięczność dla Marszałka Polski Konstantego Rokossowskiego za objęcie Prezesury Honorowej naszego Związku.

Po wyborze assesorów Zgromadzenia w osobach: Wiceministra kol. Tadeusza Rykowskiego, Kazimierza Fijałkowskiego, prof. Rajnolda Kurowskiego i przedstawiciela Rady Ochrony Przyrody dr Jana Robla Walne Zgromadzenie przyjęło następujący porządek obrad:

1. Odczytanie i przyjęcie protokółu z ostatniego Walnego Zgromadzenia Polskiego Związku Łowieckiego z dnia 24.IV.1949 r.
2. Sprawozdanie z działalności Rady Naczelnej za czas od dnia 25.IV.1949 r. do dnia 21.IV.1950 r.
3. Sprawozdanie finansowe Rady Naczelnej z roku 1949.
4. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej.
5. Plan prac Rady Naczelnej na rok 1950.
6. Zatwierdzenie preliminarza budżetowego na rok 1950.
7. Sprawa składki członkowskiej na rok 1950.
8. Ustalenie wysokości składki członkowskiej na rok 1951.
9. Uzupełniające wybory do władz naczelnych Polskiego Związku Łowieckiego i Komisji Rewizyjnej.
10. Sprawa odstrzału dzików.
11. Współzawodnictwo Kół Łowieckich w pracy łowieckiej.
12. Wolne wnioski.

Nad sprawozdaniem z działalności Rady Naczelnej rzeczowym i finansowym oraz planem prac Rady Naczelnej i preliminarzem budżetowym na rok 1950 wywiązała się długa i wyczerpująca dyskusja.

Zasadnicze postulaty, które omawiane były przez zebranych najszerzej, stanowiły sprawy: hodowlane, walki z kłusownictwem i szkodnikami oraz odbudowy siedziby Polskiego Związku Łowieckiego w Warszawie.

Delegaci specjalnie interesowali się wynikami i planami hodowli na terenach doświadczalno - hodowlanych Polskiego Związku Łowieckiego zwierzyny grubej w Nadleśnictwie Moja Wola i zwierzyny drobnej w obwodzie Ciechanów.

Zasadniczym dezyderatem postawionym i uchwalonym przez Walne Zgromadzenie odnośnie hodowli było, aby obok rozprowadzenia zająca, sarny, jelenia i bażanta zająć się również przywróceniem polskim kniejom łosia, głuszca i cietrzewia.

Zebrani postanowili również zalecić Radzie Naczelnej większe zainteresowanie się młodzieżą, przez przygotowywanie jej do zawodu łowieckiego w porozumieniu ze Związkiem Młodzieży Polskiej i organizacją „Służba Polsce".

Zalecono również Radzie Naczelnej wystąpienie do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych z prośbą o wydanie instrukcji odnośnie właściwego rozkładania trutek na myszy, by nie ginęło od nich ptactwo łowne, a specjalnie bażanty i kuropatwy.

Wreszcie delegaci zwrócili uwagę na konieczność spopularyzowania strzelectwa myśliwskiego przez obniżenie ceny naboi i rozbudowy strzelnic.

Po zakończeniu dyskusji uchwalono na wniosek Komisji Rewizyjnej absolutorium dla Naczelnej Rady Łowieckiej.

Po wyczerpaniu 5-ciu punktów porządku obrad Prezes gen. Szarecki zarządził półgodzinną przerwę, w czasie której nastąpiło założenie kamienia węgłowego pod budującą się siedzibę Polskiego Związku Łowieckiego w Warszawie. W uroczystości kładzenia cegieł brali udział: Wiceminister Leśnictwa kol. Tadeusz Rykowski, Prezydium Polskiego Związku Łowieckiego i delegaci z poszczególnych województw.

W fundamentach przyszłej siedziby zamurowano akt erekcyjny następującej treści:

Zakładanie fundamentów pod siedzibę PZŁ.

Fot. Z. Kowalski

„Działo się dnia 23.IV.1950 roku w obecności Wiceministra Leśnictwa Tadeusza Rykowskiego, Prezesa Polskiego Związku Łowieckiego Profesora Dr. Bolesława Szareckiego generała dywizji, członków Naczelnej Rady Łowieckiej i Delegatów Walnego Zgromadzenia Polskiego Związku Łowieckiego.

Przy ul. Nowy Świat 35 w miejscu związanym z tradycją łowiectwa polskiego od lat 50, a z Polskim Związkiem Łowieckim od przeszło lat 25 — dokonano położenia kamienia węgłowego pod budowę Siedziby Łowiectwa Polskiego ze składek wszystkich myśliwych polskich.

Odbudowę rozpoczęto w kwietniu 1950 roku pod przewodnictwem Komisji Odbudowy: Budowniczego Józefa Skrzypka, Dr. Zbigniewa Korolkiewicza i inż. Edwarda Frankiewicza, nadzorem Komisarza Odbudowy Siedziby Polskiego Związku Łowieckiego Zbigniewa Kowalskiego oraz nadzorem technicznym projektodawcy inż. Mieczysława Opoczyńskiego i Kierownika budowy z ramienia Spółdzielni Pracy „Przemysł Budowlany" Budowniczego Bronisława Szybalskiego".

Po założeniu kamienia nastąpiła dekoracja zasłużonych działaczy łowieckich odznaczeniami łowieckimi, której dokonał Przewodniczący Kapituły Odznaczeń Łowieckich kol. Herman Knothe. Najwyższym odznaczeniem łowieckim „Złomem" odznaczonych zostało przy wielkim aplauzie zebranych 6 obecnych na sali Kolegów, a mianowicie:

Wiceprezes Polskiego Związku Łowieckiego kol. płk. Apolinary Minecki.

Przewodniczący Komitetu Wykonawczego kol. Zbigniew Korolkiewicz.

Skarbnik Polskiego Związku Łowieckiego kol. Julian Bohusz.

Prezes Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Warszawie kol. Włodzimierz Kierwiński.

Wiceprezes Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Toruniu kol. Michał Zdrójkowski.

Zasłużony działacz łowiecki, wieloletni członek Naczelnej Rady Łowieckiej kol. Andrzej Śliwiński.

Szereg Kolegów otrzymało też medale złote, srebrne i brązowe.

Po przerwie przystąpiono do dalszych obrad, uchwalając preliminarz budżetowy Polskiego Związku Łowieckiego i „Łowca Polskiego" na rok 1950, zamykające się sumami:

preliminarz budżetowy Polskiego Związku Łowieckiego	61.288.374 zł.
preliminarz „Łowca Polskiego"	18.000.000 zł.

Jako ogólną uwagę na tle obrad w tej części Zgromadzenia należy stwierdzić, że dyskusja, jej poziom i szeroki zasięg wśród delegatów, była wnikliwa, bardzo rzeczowa, krytyczna i przeprowadzona z dużą dozą samokrytycyzmu.

Następnie przystąpiono do sprawy składki członkowskiej na rok bieżący, uchwalając następujące wnioski:

1. „Walne Zgromadzenie uchwala podział składki członkowskiej pobieranej od uczącej się młodzieży w wysokości 1.000 zł. rocznie w sposób następujący:

dla Nacz. Rady Łowieckiej	zł. 130
„ Woj. Rady. Łowieckiej	zł. 250
Woj. Rady Naczelnej	zł. 250
„ Pow. Rady Łowieckiej	zł. 120
na prenumeratę „Łowca Polskiego"	zł. 500

UZASADNIENIE

„W latach ubiegłych różnica między składką członkowską normalną i młodzieżową była pokrywana z budżetów Wojewódzkich Rad Łowieckich.

Obecnie wobec dużego napływu młodzieży do Polskiego Związku Łowieckiego i większej rozpiętości różnicy w składce dopłata tej różnicy stanowiłaby zbyt duże obciążenie dla niektórych Wojewódzkich Rad Łowieckich.

Przy proponowanym we wniosku podziale składki młodzieżowej zachowano w pełnej wysokości udział wpłaty na prenumeratę „Łowca Polskiego", a pozostałą różnicę podzielono w tym samym stosunku, w jakim dzieli się normalną składkę, z zaokrągleniem sum do 10 zł."

2. „Ostateczny termin wpłacania składek członkowskich do Polskiego Związku Łowieckiego za rok 1950 upływa z dniem 31.V br. Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego, którzy do tego terminu składek nie wpłacą, zostają automatycznie skreśleni z listy członków Związku. Ponowne przyjęcie ich do Polskiego Związku Łowieckiego nastąpić może dopiero po złożeniu nowego podania o przyjęcie i wpłaceniu poza bieżącą składką w wysokości 2.000 zł. i równowartości zająca, również wpisowego w kwocie zł 500. Przyjętym na nowo po 1.VI br. członkom Polskiego Związku Łowieckiego „Łowiec Polski" za pierwsze półrocze dostarczony będzie tylko w miarę możności".

Co do składki członkowskiej na rok 1951 uchwalono, że wysokość jej nie będzie zmieniona i pozostaje nadal w wysokości zł. 2.000, a wpisowe zł. 500.

Sprawa oddawania zająca na odbudowę siedziby Polskiego Związku Łowieckiego zadecydowana została przez Walne Zgromadzenie w sposób następujący:

„W ciągu trzech lat począwszy od roku bieżącego każdy członek Polskiego Związku Łowieckiego niezależnie od tego czy posiada czy nie aktualne pozwolenie na broń myśliwską, wpłacać będzie na odbudowę siedziby łącznie z coroczną składką członkowską równowartość zająca w kwocie zł 600.

Koledzy, którzy z jakichkolwiek przyczyn w br. nie oddali zająca bądź nie wpłacili jego równowartości na odbudowę siedziby, winni należne zł. 600 uregulować w czasie możliwie najkrótszym we właściwej Wojewódzkiej Radzie Łowieckiej".

Następnie przystąpiono do uzupełniających wyborów do władz Związku. Wobec ustąpienia z Naczelnej Rady Łowieckiej Wiceprezesa kol. płk. Apolinarego Mineckiego oraz czterech członków: płk. Stanisława Łętowskiego, Józefa Ostrowskiego, Mieczysława Mniszek - Tchorznickiego i Zbigniewa Zabłockiego, Walne Zgromadzenie wybrało jednogłośnie na Wiceprezesa Wiceministra Leśnictwa kol. Tadeusza Rykowskiego, na członków Rady Naczelnej, ppłk. Henryka Jurewicza, mjr Zdzisława Cegielskiego, ppłk. Ignacego Stachowiaka oraz Stanisława Kubiaka — mechanika z warsztatów samochodowych.

Następnie wybrano Komisję Rewizyjną w składzie jak i w roku ubiegłym, a mianowicie:

Przewodniczący — Gerard Zwoliński.

Członkowie — Stanisław, Hołowiński, gen. Florian Grabczyński.

Zastępcy — Bolesław Marczak, Stanisław Kornaszewski.

Do Kapituły Odznaczeń Łowieckich na miejsce kol. Mieczysława Mniszek - Tchorznickiego wybrano Wicewojewodę Łódzkiego kol. Kazimierza Kucnera.

Ustępującemu ze względów służbowych kol. Wiceprezesowi płk. Apolinaremu Mineckiemu podziękował w gorących słowach za wielką pracę włożoną w organizację Polskiego Związku Łowieckiego Wiceprezes Związku kol. Józef Skrzypek. Zebrani z prawdziwym żalem żegnali kol. płk. Apolinarego Mineckiego, który oświadczył, że wychodząc z władz Związku zostanie czynnym członkiem Polskiego Związku Łowieckiego.

W sprawie odstrzału dzików Walne Zgromadzenie uchwaliło następujący wniosek:

„Wobec zlikwidowania nadmiernego pogłowia dzików oraz ze względu na wielką ilość postrzałków, jaką powoduje strzelanie loftkami i wynikające stąd straty dla gosp[illegible]rki narodowej i eksportu, Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego w dniu 23.IV br. uchwaliło zabronić członkom Polskiego Związku Łowieckie[illegible] strzelania do dzików loftkami i śrutem".

Przyjęto również jednomyślnie przez zebranych zalecenie, aby specjalnie opracowana praca inż. Habera odnośnie wielkiego i pozytywnego znaczenia dzika w gospodarce leśnej, niszczącego owadzie szkodniki — podana była w „Łowcu Polskim" i prasie codziennej.

Sprawę współzawodnictwa Rad Wojewódzkich, Powiatowych i Kół Łowieckich w pracy łowieckiej Walne Zgromadzenie uchwaliło jako ważną zasadę, polecając rozpracowanie tego zagadnienia Komitetowi Wykonawczemu Polskiego Związku Łowieckiego.

Długą i ożywioną dyskusję wywołały wolne wnioski, nadesłane przez Wojewódzkie i Powiatowe Rady Łowieckie.

W ramach tych wniosków zebrani powzięli następujące decyzje:

1) Polecono Naczelnej Radzie opracowanie regulaminu prac dla Komisji przy Wojewódzkich Radach Łowieckich.

2) „Z uwagi na konieczność ścisłej współpracy na odcinku łowiectwa pomiędzy Polskim Związkiem Łowieckim i Spółdzielnią „Jedność Łowiecka" oraz w imię dobrze rozumianego wspólnego interesu — Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego w dniu 23.IV. 1950 r. powzięło uchwałę, zalecającą członkom Polskiego Związku Łowieckiego zapisywanie się na członków Spółdzielni „Jedność Łowiecka".

3) „Walne Zgromadzenie solidaryzując się w pełni z ideą obrony pokoju i manifesując jednogłośnie miejsce polskich myśliwych w obozie pokoju zobowiązuje Rady Wojewódzkie, Powiatowe i Koła Łowieckie do organizowania w porozumieniu z właściwymi władzami miejscowymi zebrań w terenie, mających na celu propagandę walki o pokój".

4) Wobec licznych wypadków na polowaniach zalecono Radzie Naczelnej przy opracowywaniu nowego regulaminu egzaminacyjnego zwrócenie szczególnej uwagi na sprawę egzaminu z umiejętności obchodzenia się z bronią.

Przed zamknięciem zebrania Przewodniczący Walnego Zgromadzenia w zastępstwie Prezesa Polskiego Związku Łowieckiego gen. dyr. Bolesława Szareckiego Wiceprezes płk. Apolinary Minecki zaproponował zebranym wysłanie i podał treść depesz do Prezydenta RP ob. Bolesława Bieruta, Marszałka Polski Michała Żymierskiego, Ministra Obrony Narodowej Marszałka Polski Konstantego Rokossowskiego i gospodarza łowiectwa polskiego Ministra Leśnictwa ob. Bolesława Podedwornego, co zebrani przyjęli długotrwałymi i owacyjnymi oklaskami.

Na tym zebranie o godz. 20 zamknięto.

PROF. EDWARD SCHECHTEL

Trzy dziki jedną kulą

Rzadki wypadek zdarzył się na polowaniu w dniu 7.I br. w P.. pow. wągrowiecki, woj. poznańskie. Uczestniczyłem w nim i dzięki temu mogę dość dokładnie odtworzyć przebieg tego niezwykłego polowania.

Wyznaczając stanowiska myśliwym, a między innymi i mnie, na tyłach zagajnika, w którym otropione były dziki, stanął gospodarz polowania Dr R. R. na ostatnim stanowisku. Nagonka ruszyła. Długie chwile wyczekiwaliśmy, lecz dzików nie głoszono. Na czole i na skrzydłach padały pojedyncze strzały śrutowe do zajęcy. My na tyłach strzelaliśmy do przepięknego starego lisa dobrze znanego, który jednak i tym razem ocalił się, choć z poprzebijaną skórką.

Potem ucichła strzelanina i gospodarz miał już zamiar odwołać myśliwych ze stanowisk, gdy nagle w głębi tyczkowiny, przed którą stał, zamajaczyły liczne czarne sylwetki, przemykające w lewo od niego. Dziki liczy posuwające się sztuki — doliczył do 16. W pewnej chwili cała wataha na moment przystanęła nezdecydowanie, wprost stanowiska brata gospodarza. Odległość wynosiła około 100 m. Gospodarz widzi, że brat podnosi trójlufkę do twarzy, pada jednak przedwczesny strzał, wskutek czułego przyśpiesznika i widać, jak kula uderzyła w śnieg. Dziki w tym momencie odbijają w kierunku gospodarza i przystanęły ponownie na niewielkim wzniesieniu, w dość zwartej grupie. Gospodarz już mierzy do roślejszego przelatka i gdy zauważył, że drugi podobny przesunął się za niego, wypala, mierząc za łopatkę. Mając bardzo silną kulę w lufie (kal. 9,3 x 74 R pocisk o małym czubku ołowianym, proch specjalny 4 g), miał zamiar położyć od razu dwie sztuki. W ogniu widzi, że sztuka bliższa pada na miejscu, oraz że z drzewka za dzikami pryskają wióry. Dziki po strzale skręcają ostro w prawo i ruszają prawie wprost na jego stanowisko. Zdążył zmienić nabój i składa się ponownie do pierwszej sztuki, przesadzającej linię. W tej chwili zauważył na komorze tego dzika dużą czerwoną plamę i puszcza go bez strzału, w przekonaniu, że jest to drugi dzik trafiony poprzednią kulą i że niedaleko ujdzie. Bierze więc na cel następną zbliżającą się dużą sztukę i pociąga za cyngiel. Niestety niewypał! Zdetonowany

nie poprawia „Brenekę“ i dzik zdrów uchodzi. Szybko wraca jednak do równowagi i następnego przelatka przewraca na linii z gładkiej lufy kulą. Łamie trójlufkę (na ponowne przeładowanie nie było czasu) i próbuje posłać poprzedni niewypał następnemu dziczkowi — niestety znowu zawodzi. W tej chwili wpada na linię niewielki warchlak. Przesuwa błyskawicznie przestawnik na śrut i strzela na gwizd. Dziczek koziołkuje jak zając. Resztę przeskakujących linię dzików puszcza już bez strzału, gdyż nie zdążył przeładować broni. Spotkanie skończone!

Ale po prawej stronie w gąszczu słyszy charczącego dzika. To dogorywa ten, który pierwszy mijał linię, ze zbroczoną farbą komorą. Z emocji myśliwskiej wyrywa go głos brata, który domaga się zbadania warchlaka, gdyż strzelił do niego kulą. Okazuje się, że strzelili równocześnie i dzik poza śrutem za uchem miał również kulę brata na komorze i tym samym należał do niego. Równocześnie jednak bratowa, która stała razem z bratem na stanowisku i obserwowała dokładnie wszystkie strzały, woła, że w miejscu pierwszego strzału gospodarza leżą dwa dziki. Widocznie w chwili gdy złożył się do strzału, przesunął się niezauważony trzeci dziki kula przebiła wszystkie trzy sztuki — i to jak się okazało przy bliższych oględzinach tuż za łopatką, łamiąc najwyżej położone żebra. Wylatując z ostatniego dzika, wyrwała w sosence jeszcze dziurę wielkości męskiej pięści! Waga każdego z tych dzików wynosiła od 51 do 53 kg po wypaproszeniu.

Wynik na dwóch stanowiskach braci R: 5 dzików i 7 zajęcy w jednym miocie, z czego nasz gospodarz 4 dziki, a w tym trzy jednym strzałem. Miał — jak się nam przyznał później — pewne skrupuły z powodu zamierzonego ubicia dwóch dzików jednym strzałem i strzału śrutowego do warchlaka, ale go poniosło! Ale któż z nas myśliwych nie zgrzeszył w zapale?!

Pięć dzików na 2 stanowiskach w jednym miocie, nie byłoby jeszcze takim unikatem, gdyż kroniki myśliwskie notowały już więcej na jednym stanowisku. Ale nie pamiętam od pięćdziesięciu lat, aby ktoś ubił trzy dziki jedną kulą! Aby kolegom myśliwym nie nasuwały się jakiekolwiek podejrzenia co do prawdziwości tego niecodziennego zdarzenia, podpisuję tą notatkę pełnym nazwiskiem i dodaję, że świadkiem był również Dr Krygicz, łowczy pow. poznański.

Uwaga Redakcji. Zamieszczamy notatkę prof. E. Schechtla, jako ciekawą informację o wyjątkowym przykładzie efektu strzeleckiego, ale nie możemy powstrzymać się od uwagi, że „zamierzone ubicie dwóch dzików jednym strzałem“ nie jest ze stanowiska etyki myśliwskiej poprawne.

Przez czyn 1-szo Majowy — dostateczne zaopatrzenie rynku w pociski do wiatrówek

Wybitnie palącą sprawą na odcinku rozwoju sportu strzeleckiego było zaopatrzenie rynku wewnętrznego w pociski (kulki) do ćwiczebnego strzelania z wiatrówek.

Dotychczasowa maksymalna produkcja tych pocisków w warszatach uspołecznionych wynosiła do 224.000 szt. miesięcznie, co stanowiło zaledwie mały ułamek istotnego zapotrzebowania.

Ażeby rozwiązać ten trudny problem dostatecznego zaopatrzenia rynku, z okazji święta 1-maja zarząd Spółdzielni „Jedność Łowiecka“ wezwał kierownictwo produkcji do uruchomienia w ramach czynu 1-szo Majowego produkcji pocisków do wiatrówek.

Wezwanie zostało podjęte przez kol. Wierzbickiego Mariana kierownika produkcji, i rezultatem tego jest fakt, że już w dniu 29 kwietnia br. rozpoczęto produkcję tego tak bardzo poszukiwanego artykułu na nowych zasadach wytwarzania.

Obecna dzienna produkcja tych pocisków przekracza dotychczasową miesięczną produkcję i wynosi około 7.000.000 szt. miesięcznie, co pozwoli na całkowite zaspokojenie potrzeb tak pięknie rozwijającego się sportu strzelecko - ćwiczebnego wśród młodzieży.

Należy podkreślić, że do wykonania podjętego czynu 1-szo majowego przyczyniła się Mennica Państwowa przez wykonanie w skróconym terminie (6 dni) przyrządu potrzebnego do uruchomienia tej produkcji.

Zarząd Spółdzielni „Jedność Łowiecka“ wyraża słowa uznania kol. Wierzbickiemu Marianowi za wykonanie podjętego zobowiązania, oraz serdeczne podziękowanie robotnikom i dyrekcji Mennicy Państwowej — na ręce dyr. Nowaka — za pomoc przy realizacji zobowiązania.

Tak zrozumiany czyn 1-szo Majowy dwóch placówek może i powinien stanowić jeden z przykładów w dalszym realizowaniu zobowiązań w ramach wykonania planu 6-cio letniego.

Powiat hrubieszowski w walce ze szkodnikami

Od pewnego czasu na terenie powiatu hrubieszowskiego dała się zauważyć nadmierna i w zastraszający sposób wzrastająca liczba szkodników, a mianowicie: jastrzębi, wron siwych, srok, itp. Ucierpiały na tym przede wszystkim zajączki marczaki, a następnie, doskonale się już rozwijające, a będące jeszcze do niedawna rzadkością na terenie powiatu, kuropatwy, ptactwo błotne itp.

Dorywcze niszczenie szkodników przez poszczególnych myśliwych nie dawało dostatecznych wyników, a to z powodu stosunkowo wysokich cen naboi myśliwskich, oraz dorywczo prowadzonej akcji niszczenia szkodników na terenach łowieckich. W dniu 26 marca 1950 roku odbyło się w Hrubieszowie Walne Zgromadzenie Powiatowe PZŁ na którym łowczy powiatowy poruszył sprawę systematycznego tępienia szkodników i poddał ją do dyskusji zebranym. W wyniku zgromadzenie uchwaliło co następuje: Akcja niszczenia szkodników na terenach łowieckich jest bezwątpienia jednym z najważniejszych zadań członka PZŁ, ale może dać dopiero wtedy pomyślne rezultaty, jeżeli zostanie mądrze i dokładnie przeprowadzona. Dlatego też członkowie zgromadzenia uchwalili dobrowolne opodatkowanie się w wysokości pięciuset złotych od każdego członka, oraz zakupienie z zebranych w ten sposób funduszów amunicji specjalnie przeznaczonej do akcji tępienia szkodników. Naboje te znajdować się będą pod nadzorem łowczego powiatowego i każdy z myśliwych, w wypadku złożenia dowodów na zabicie szkodnika (np. pod postacią obciętej nóżki wrony itp.) będzie mógł otrzymać zwrot zużytego ładunku.

Z chwilą usunięcia tej głównej przeszkody natury materialnej obowiązek niszczenia szkodników spadł na barki wszystkich członków PZŁ na terenie powiatu. Jednocześnie rzucono hasło współzawodnictwa w niszczeniu szkodników, przy czym Koledzy myśliwi, którzy osiągną najlepsze wyniki w akcji, zostaną wyróżnieni na specjalnie w tym celu zwołanym zebraniu. Ponieważ jednak ilość nabytej amunicji nie rozwiąże całkowicie sprawy, gdyż w miarę rozszerzania i upowszechniania akcji niszczenia szkodników zapotrzebowanie na naboje będzie stale wzrastało, przeto przy zarządzie Nadbużańskiego Stowarzyszenia Łowieckiego „Dzik“ w Hrubieszowie powołano do życia specjalną sekcję imprezowo - dochodową, której zadaniem jest zdobycie odpowiednich funduszów na kupno dalszych zapasów amunicji. Pierwszą taką imprezą będą znajdujące się w tej chwili w stadium organizacji zawody strzeleckie z broni małokalibrowej, w szczególności dla młodzieży szkół średnich. Dadzą one podwójną korzyść, bowiem, po pierwsze, wzmogą zainteresowanie sprawami łowiectwa u licznych niewątpliwie rzesz jego sympatyków, a po drugie, dadzą fundusze na prowadzenie i propagowanie akcji tępienia szkodników na terenie powiatu.

W akcji Dnia Lasu

Sadzenie drzewek na Strzelnicy w Szczęśliwicach przez Sekcję Łowiecką Koła Leśników stud. S.G.G.W. w dn. 23.IV.1950 r,

Fot. Z. Zakrzewski

Warszawscy myśliwi zalesiają...

Powiatowa Rada Łowiecka na m. stoł. Warszawę, na zebraniu w dniu 30.III. br. uchwaliła co następuje: „My myśliwi m. st. Warszawy, zrzeszeni w Polskim Związku Łowieckim, postanowiliśmy uczcić dzień 1 Maja jednodniową pracą zespołową przy zalesieniu naszych leśnych porębów i innych nieużytków".

Towarzystwo Łowieckie „Odyniec" i Warszawskie Koło Myśliwskie postanowiły znacznie przekroczyć czas jednodniowego wysiłku, wzywając jednocześnie wszystkie Stowarzyszenia Łowieckie do naśladownictwa i współzawodnictwa w tym pięknym Wielkim Czynie, wzmacniającym nasze Państwo Demokratyczne.

W dniu 16 kwietnia 1950 r. oba w/w Stowarzyszenia zalesiły w Nadleśnictwie Grójeckim 1,20 ha — sadzonkami sosny, wykonując w ten sposób podjęte na siebie zobowiązanie.

KOMUNIKAT

od dnia 1 lipca r. b. wszelkie wpłaty dotyczące „ŁOWCA POLSKIEGO" prosimy wpłacać na konto

P.K.O. I-161/113

Zaznaczamy iż konto I-1077 zostaje z dn. 30 czerwca skasowane

Wezwanie do Członków PZŁ

Państwowa Szkoła Specjalna dla ociemniałych w Bydgoszczy, ul. Krasińskiego Nr 10 zwraca się do Kolegów myśliwych z prośbą by zechcieli ze swych zbiorów myśliwskich ofiarować wypchane zwierzęta i ptaki (najlepiej nadają się ptaki o skrzydłach złożonych) lub inne okazy przyrodnicze. Szkoła bowiem ze względu na szkolenie niewidomych potrzebuje niezliczoną ilość najróżnorodniejszych pomocy, na których dzieci niewidome zdobywają przez dotyk nowe pojęcia. Polski Związek Łowiecki doceniając tą akcję prosi kolegów o zasilenie zbiorów Szkoły z kolekcji przez nich posiadanych.

DO WSZYSTKICH WOJEWÓDZKICH RAD ŁOWIECKICH

Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego w dniu 23.IV. 1950 r. powzięło następującą uchwałę:

„Solidaryzując się w pełni z ideą obrony pokoju i manifestując jednogłośnie miejsce polskich myśliwych w obozie pokoju — Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego zobowiązuje Rady Wojewódzkie ,Powiatowe i Koła Łowieckie do organizowania w porozumieniu z właściwymi władzami miejscowymi zebrań w terenie, mających na celu propagandę walki o pokój".

Prosimy o jak najszybsze wydanie odpowiednich zarządzeń dla terenu w tej tak ważnej sprawie i przesłanie nam odpisów odpowiednich okólników.

W-PRZEWODNICZĄCY KOMITETU WYKONAWCZEGO
Zbigniew Kowalski

Z literatury ŁOWIECKIEJ

Kalendarz Leśny Informacyjny 1950 r. — wydawnictwo Spółdzielni „Las,“, stron 430. Warszawa.

Siedemnasty rocznik Kalendarza Leśnego spełnia godnie swoje zadanie informatora i podręcznego źródła wiedzy dla leśnika fachowca i przyrodnika. Zagadnienie podstawowe — ilość powierzchni leśnej w Polsce i zapas drzewa — ujmują trzy artykuły, stwierdzające, że lasów mamy ogółem 7.503 tys. ha, (wobec 8.493 tys. ha w 1937 r.). w czym lasów państwowych 84.5%, a innych — 15,5%, i że skład tych lasów stanowią: w 76.1% sosna i modrzew, w 11,2% świerk i jodła, w 4% dąb i jesion, w 3,5% buk i grab, w 5.2% olsza, brzoza, osika i topola. Roczna produkcja drewna grubego stanowi 11.400 tys. m^3, z czego na opałowe przypada 26%, na użytkowe 74%.

Lesistość, czyli stosunek powierzchni leśnej do powierzchni kraju, stanowi dla Polski 22%, wobec 71% dla Finlandii, 57% dla Szwecji, 36% dla Austrii, 32% dla Czechosłowacji, 21% dla Niemiec, 20% dla Francji, 6% dla W. Brytanii. Ale lesistość nabiera wyrazu dopiero w zestawieniu z przyrostem masy drzewnej na 1 ha. Otóż, według przytoczonych danych, przyrost ten w Polsce stanowił 1.5 m^3, wówczas gdy w Niemczech — 3,6 m^3, w Czechosłowacji — 2.8 m^3, we Francji — 2.6 m^3, w Szwecji — 2.1 m^3, w Finlandii—2,0 m^3.

W tym stanie rzeczy, uzależnionym zarówno od warunków klimatycznych, jak i od poziomu gospodarki leśnej, nabiera szczególnej wagi system gospodarstwa w lasach. O przestawieniu gospodarki leśnej w Polsce na nowe tory informują cztery dalsze artykuły w Kalendarzu: „Gospodarstwo siedliskowo - bezzrębowe“ — inż. M. Kreutzingera, „Określenie rozmiaru użytkowania w gospodarstwie bezzrębowym“ — inż. T. Tramplera; „Warunki produkcji w gospodarstwie siedliskowo - bezzrębowym“ — Z. Obmińskiego i „Charakterystyka zamierzeń w systemie bezzrębowym“ inż. J. Szczuki. Uzupełnieniem tych prac informacyjnych jest streszczenie przez inż. W. Krajewskiego zasad „Kierowanego przekształcenia przyrody roślin według nauki Miczurina - Łysienki“ oraz „Materializm dialektyczny, jako naukowa podstawa współczesnego leśnictwa“ — W. Kowanicza.

Drugą część Kalendarza zajmują fachowe prace z zakresu hodowli i odnowienia lasu, zalesienia gruntów chłopskich i nieużytków, walki ze szkodnikami, współżycia roślin i zwierząt w lesie itp. oraz zagadnienia z dziedziny ochrony przyrody, piękna i estetyki lasu, czasopiśmiennictwa leśnego, las jako przedmiot czci i t.p..

Wreszcie część trzecia Kalendarza Leśnego poświęcona jest sprawie dla myśliwych szczególnie bliskiej, bo łowiectwu. W artykule pt. „Łowiectwo w nowym modelu gospodarczym Polski“ inż. J. Bohusz obrazuje zmiany, jakie zaszły w łowiectwie polskim w związku z przemianami ustrojowymi i charakteryzuje w rysach ogólnych układ planu hodowlano - łowieckiego oraz przeobrażeń w organizacji myśliwych, jakie muszą w zależności od tego nastąpić. Część tę uzupełniają: „Przykazania myśliwskie“, w sformułowaniu „Kalendarza Myśliwskiego“ z 1913 r. oraz tabele okresów polowań i czasów ochronnych dla zwierzyny łownej.

Kalendarz Leśny uzupełniają takie załączniki, jak: prawodawstwo leśne, szkolnictwo leśne, Związek Zawodowy Pracowników Leśnych i Przemysłu Drzewnego, Spółdzielnia „Las“ i informator społeczny.

Jeżeli się doda, że wydawnictwo jest bogato ilustrowane zdjęciami z natury, z których większość wykonał taki mistrz jakim jest W. Puchalski, to przyznać należy, że Kalendarz Leśny na rok 1950 jest istotnym źródłem informacji dla każdego, kto ma styczność z lasem i kocha go.

J. Gieysztor

Komunikat Powiatowej Rady Łowieckiej w Rybniku. Nr 2, kwiecień, 1950 r., pod redakcją inż. W. Trawińskiego.

Kolejny komunikat zawiera szereg informacji, zwracających uwagę członków PZŁ na najbardziej aktualne sprawy obecnego sezonu. W związku z okresem lęgowym zwierzyny wzywa się do zapewnienia spokoju w łowiskach, do strzelania włóczących się psów i kotów, niszczenia gniazd jastrzębi i wron, wzbranianie dziatwie szkolnej wybierania jaj i piskląt kaczych i kuropatwich. Ze swej strony Rada Powiatowa przeprowadzi akcję wykładania jaj fosforowych, na co uzyskano zgodę władz.

Komunikat zwraca uwagę Czytelników na wadliwy sposób walki z plagą myszy przez rozsypywanie zatrutego ziarna. Wynikiem tego jest masowe zatruwanie się kuropatw. Ziarno powinno być wprowadzane głęboko do nor, a nie rozsypane po powierzchni.

W dn. 7 maja odbędzie się w Rybniku przegląd psów ras myśliwskich, a po południu — strzelanie do rzutków.

J. G.

Józef Bieniasz **„Leśne Wygi“**, ilustrował Ludwik Maciąg. Nakładem „Naszej Księgarni“, stron 176, cena 290 zł.

Treścią książki jest życie zwierząt leśnych. Lis, zając, borsuk i kuna, a obok nich całe pomniejsze bractwo z królestwa Fauny: krety, żmije i ptactwo — to główni bohaterowie barwnie opisanych przygód, w których jednak również występuje czasem myśliwy ze strzelbą i groźnym psem..

Dobra znajomość obyczajów i psychologii zwierząt cechuje piękne obrazy Bieniasza, które niejednokrotnie swoją prawdą artystyczną i głębokim odczuciem świata przyrody przypominają mistrzowskie opisy Dygasińskiego.

Język opowiadań prosty, trafny i dosadny z użyciem słownictwa gwarowego oraz myśliwskiego (na końcu książki dołączono krótki słowniczek z objaśnieniem rzadziej spotykanych i mniej znanych wyrazów).

Książka warta przeczytania. Dla swojej treści i dla niepowszednich zalet stylu jest godna polecenia szczególnie dla młodzieży i do bibliotek szkolnych.

Dr M. Ludziński

PARK NARODOWY W PUSZCZY KAMPINOSKIEJ

Utworzenie Parku Narodowego pod Warszawą, o oczekiwanym powstaniu którego dawaliśmy parokrotnie wzmiankę w Łowcu Polskim, zbliża się do realizacji.

Dr S. Jarosz komunikuje w „Życiu Warszawy“ z dn. 8 grudnia, że rozpoczęto już budowę rezerwatu łosi niedaleko wsi Pociecha. Rezerwat ma około 100 ha powierzchni, a kredyt przyznany na ten cel wynosi 5 milionów złotych. W styczniu rezerwat będzie gotów na przyjęcie łosi, które mamy otrzymać wzamian za żubry z Białoruskiej Republiki Radzieckiej. Na wiosnę zostaną opracowane granice szczegółowe Parku, podział administracyjny, obszary rezerwatów poszczególnych, w tym dla żubrów, oraz projekty budynków dla zarządu Parku,

J. G.

PROTOKÓŁ

z posiedzenia Sądu Konkursowego Fotografii Myśliwskiej dla amatorów z dnia 3 maja 1950 r.

W skład Sądu Konkursowego weszli następujący członkowie Komitetu Redakcyjnego: J. Bohusz, E. Frankiewicz, J. Gieysztor, S. Ihnatowicz, Z. Korolkiewicz, R. Kryspin, M. Sadzewicz, A. Sliwiński, H. Zapolski i doradca artystyczny — S. Rozwadowski.

Przewodniczący Sądu, J. Gieysztor, poinformował, iż do Konkursu stanęło 26 zawodników, nadsyłając 158 zdjęć, i zwrócił uwagę, że Konkurs przeznaczony jest wyłącznie dla amatorów, wobec czego nie mogą w nim brać udziału fotografowie zawodowi. Ścisłe przestrzeganie tej zasady jest konieczne z uwagi na nierówność szans, która by powstała dla myśliwych amatorów, nie będących w możności zaopatrzenia się w tak precyzyjną i drogą aparaturę techniczną, jaką posługują się zawodowcy. Wobec niemożności określenia z góry, kto z zawodników jest amatorem, a kto zawodowcem, postanowiono dokonywać oceny ogólnej, a dopiero po otwarciu kopert z adresami — wyeliminować zdjęcia dostarczone przez fotografów zawodowych.

Po zaznajomieniu się szczegółowym z dostarczonymi zdjęciami i wymianie zdań, przeprowadzono ocenę skrutacyjną, która dała w wyniku przyznanie na podstawie większości głosów:

A. **Za zdjęcia seryjne** (nie mniej niż 5 zdjęć):
- Nagroda I — Godło „Toki"
- Nagroda II — Godło „Krokus"
- Nagroda III — Godło „Plusk".

Po otwarciu kopert z godłami stwierdzono, iż autorem zdjęć pod godłem „Krokus" jest świetny fotograf zawodowy, Kol. W. Puchalski z Krakowa. Stosownie do powziętej uchwały, zdjęcia Kol. Puchalskiego zostały z Konkursu wycofane, zaś ponowne rozpatrzenie zdjęć dało w wyniku ocenę następującą:
- Nagroda I — Godło „Toki"
- Nagroda II — Godło „Plusk"
- Nagroda III — Godło „Gnom".

Sprawdzenie nazwisk autorów wykazało, że autorem obu ostatnich serii pod godłem „Plusk" i „Gnom" — jest taż sama osoba. Sąd uznał, że w celu najszerszego zainteresowania fotografią kolegów myśliwych nie należy przyznawać dwóch nagród jednej osobie i dlatego zarządził ponowną ocenę zdjęć. Dała ona następujący wynik kwalifikacyjny:
- Nagroda I — Godło „Toki"
- Nagroda II — Godło „Plusk"
- Nagroda III — Godło „Ponowa".

B. **Zdjęcia pojedyńcze:**
- Nagroda I — Godło „Krokus" (Dzik „zaskoczony")
- Nagroda II — Godło „Maj" („Bataliony")
- Nagroda III — Godło „Szary Sęp" (Kuna „w oczekiwaniu").

Ponieważ autorem zdjęcia pod godłem „Krokus" jest tenże fotograf zawodowy, Kol. W. Puchalski, przeto zarządzono dalszą ocenę zdjęć, w wyniku której ustalono następującą kolejność nagród:
- Nagroda I — Godło „Maj" („Bataliony")
- Nagroda II — Godło „Szary Sęp" (Kuna)
- Nagroda III — Godło „Amok" („Bobry").

W wyniku ostatecznym Sąd Konkursowy przyznał:

A. **Za zdjęcia seryjne:**
- Nagroda I — w kwocie 20.000 zł. — Kol. Zbigniew Kowalski, Warszawa.
- Nagroda II — w kwocie 12.000 zł. — Kol. Zbigniew Porębski, Szczecinek.
- Nagroda III — w kwocie 8.000 zł. — Kol. Zbigniew Zakrzewski, Warszawa.

B. **Za zdjęcia pojedyńcze:**
- Nagroda I — w kwocie 5.000 zł. — Kol. Leopold Pac Pomarnacki, Radom.
- Nagroda II — w kwocie 3.000 zł. Kol. Henryk Mandel, Kościan.
- Nagroda III — w kwocie 2.000 zł. — Kol. Roman Józefoski, Chorzów.

Ponadto zostały wyróżnione i zakwalifikowane do zamieszczenia w Łowcu Polskim 3 zdjęcia: „Gronostaj polski" — Kol. Kazimierza Świderskiego z Warszawy; 2. „Osierocona sarenka" — Kol. Kazimierza Głowackiego z Pędzewa; i 3. „Młode lisy przy norze" — Kol. Antoniego Wiśniewskiego z Puszczykowa.

Komitet Redakcyjny zastrzegł sobie prawo do wykorzystania poszczególnych zdjęć z innych serii za opłatą przewidzianą w cenniku.

Przewodniczący Sądu Konkursowego
Prof. Józef Gieysztor

Protokółowała
Róża Ocetkiewicz

Wydawca — Polski Związek Łowiecki. Warszawa, Nowy Świat 35. Konto PKO I-1077
Komitet Redakcyjny: Z. Korolkiewicz (przewodniczący), J. Gieysztor (redaktor), członkowie: J. Bohusz, E. Frankiewicz, S. Ihnatowicz, Z. Kowalski, R Kryspin, M. Sadzewicz, A. Śliwiński, H. Zapolski. Doradca graficzny — S. Rozwadowski

Zamówienie Nr 389 z dn. 15.V.1950. Nakład 30.000 egz. Ukończono w lipcu 1950 r. B-115172
Druk „Prasa Demokratyczna — Nowa Epoka", W-wa, Śniadeckich 16.

Kalendarzyk Myśliwski

W myśl ustawy łowieckiej z dnia 3 grudnia 1927 r. i rozporządzeniu Ministra Leśnictwa z dnia 27 marca 1950 r. (Dz. Ust. R. P. nr 18) — polowanie na następu- jące zwierzęta łowne jest dozwolone (pola białe), względnie wzbronione (pola czarne):

RODZAJ ZWIERZYNY	Czerwiec	Lipiec	Sierpień
Sarny kozły w województwach: pomorskim, poznańskim, olsztyńskim i wrocławskim			
Sarny kozły w pozostałych województwach	■	■	■
Dziki *)			
Wydry	■	■	
Lisy (w bażantarniach i zagrodach miejskich oraz w sąsiedztwie do 100 m, wolno polować przez cały rok)	■	■	
Słonki	■	■	▌16
Bataliony	■	▌16	
Dzikie kaczki i kaczory	■	▌16	
Dzikie gęsi	■	■	
Czaple siwe, dubelty, krzyki, bekasiki i inne ptactwo wodne i błotne	■	▌16	
Dzikie gołębie	■	■	
Kwiczoły i paszkoty	■	■	▌16
Błotniaki zbożowe i stawowe	■	▌16	
Gawrony, kawki, kruki i ptaki drapieżne, z wyjątkiem jastrzębi-gołębiarzy, krogulców, wron i srok	■	■	▌16
Jastrzębie gołębiarze, krogulce, wrony i sroki	czasu ochronnego nie mają		
Wilki, kuny kamionki, tchórze, gronostaje i lasice	czasu ochronnego nie mają		
Króliki	czasu ochronnego nie mają		

*) **Uwaga.** Przypominamy, iż stosownie do uchwały Walnego Zgromadzenia Członków PZŁ, wzbronione jest strzelanie do dzików śrutem i loftkami, jak również używanie do polowań na dziki psów w miesiącach letnich, jako okresu, kiedy knieja jest ostoją młodej zwierzyny, wymagającej ciszy i spokoju.

Z tych samych względów natury hodowlanej etyka łowiecka zabrania odstrzału loch przy warchlakach.